

Theodore Sturgeon

Klucz do nieba

(It Opens the Sky)

Przełożył: Wiktor Bukato

Sturgeon wśród nas

Urodzony w roku 1918 w Nowym Jorku Theodore Sturgeon jest u nas pisarzem właściwie nie znanym. Poza kilkoma zaledwie opowiadaniem publikowanymi tu i ówdzie w prasie polski czytelnik niewiele miał okazji zapoznać się z jego twórczością. A jest ona bogata: autor ma w swym dorobku siedem powieści i kilkanaście zbiorów opowiadań.

Theodore Sturgeon urodził się jako Edward Hamilton Waldo, później jednak przyjął nazwisko swego ojczyma, którego zawsze obdarzał najwyższym szacunkiem. Nigdy nie był zbyt dobrym uczniem: szkołę porzucił wcześniej, po czym imał się różnych zajęć. Był marynarzem, domokrążcą, muzykiem gitarzystą, kierownikiem hotelu, a nawet operatorem spychacza. Nic dziwnego zatem, że potrafił w swoich utworach plastycznie kreślić sylwetki bohaterów, tak samo przedstawicielei najróżniejszych zawodów.

Zadebiutował w roku 1937 opowiadaniem zamieszczonym w prasie, które jednak nie wspólnego z fantastyką nie miało. Do grona autorów science fiction wpisał się dwa lata później publikując w słynnym magazynie *Astounding Science Fiction* opowiadanie pt. *Ether Breather*. Jego pierwszy, trzyletni, wyjątkowo płodny okres twórczy (w tym czasie opublikował prawie trzydzieści opowiadań) zakończyło powołanie do wojska podczas II wojny światowej.

Po demobilizacji objawił się jako autor płodny i świadom swych zdolności. W dalszym ciągu publikował głównie w czasopismach; umieszczone tam opowiadania zebrano później w tomach *Without Sorcery* (1948), *E Pluribus Unicom* (1953), *A Way Home* (1955), *Caviar* (1955), *A Touch of Strange* (1958), *Aliens 4* (1959), *Beyond* (1960), *Sturgeon in Orbit* (1964)...*And My Fear Is Great And Baby Eş Three* (1965), *Starshine* (1966). Potem nastąpiła kilkuletnia przerwa, podczas której rozeszły się pogłoski, że Sturgeon od dawna nie żyje, a wszystkie poprzednio wydane zbiory zawierają opowiadania napisane jeszcze w latach pięćdziesiątych (co zresztą było prawdą). Odpowiedź autora nadeszła w postaci tomu zupełnie nowych opowiadań pod znamienym tytułem *Sturgeon Is Atwe And Well* (1971), po którym ukazały się jeszcze *Case And the Dreamer* (1974) oraz znowu tom starszych opowiadań pt. *The Worlds of Theodore Sturgeon* (1972). Później wydał jeszcze *The Stars Are the Styx* i *Golden Helix*.

Gwoli uczciwości trzeba powiedzieć, że Thaodore Sturgeon jest również autorem powieści, z których tylko jedna zyskała szersze uznanie. Mowa tu o tomie pt. *More than Human* (1953), który zresztą nie jest tu najlepszym przykładem, bowiem znowu stanowi kompozycję kilku opowiadań, których akcja toczy się wśród tego samego tła, z tymi samymi bohaterami. Inne powieści to *The Cosmic Rape* (1958), *The Dreaming Jewels* (1950), *Venus Plus X* (1960) oraz trzy inne utwory poza obszarem zainteresowań miłośników fantastyki.

Theodore Sturgeon jest laureatem nagrody International Fantasy Award za powieść *More than Human* oraz Hugo i Nebula w roku 1970 za opowiadanie *Slow Sculpture*. Jeśli chodzi o życie prywatne, był kilkakrotnie żonaty, a owocem tych związków jest liczne potomstwo.

Wiktor Bukato

Klucz do nieba

Szczęście raz jeszcze mu zaświeciło, tym razem prosto w oczy, aż zamrugał.

Deeming zatrzymał się przy skrzyżowaniu – mieszkał w tej części miasta, gdzie ulice wciąż jeszcze przecinały się na jednym poziomie – i czekał na zmianę świateł, kiedy na znajdującym się w pobliżu słupku, dokładnie na poziomie jego wzroku, pojawiła się ręka. Miała na przegubie cienką złotą bransoletkę z zegarkiem. Zamrugał oczami właśnie z powodu tego zegarka. Widział taki tylko raz w życiu; było to cudownie wykonane cacko z wążutkami cyferkami wyciętymi z rubinów. Rolę wskazówek pełniły owe cyfry, które zapalały się co godzinę, zaś minuty wskazywał rdzawobursztynowy błysk krążący po tarczy. Zegarek był zasilany geomagnetycznie: i tysiące lat by nie starczyło, żeby się zepsuł lub zaczął spóźniać. Pochodził z jakiejś planety w Mgławicy Kraba, gdzie przedstawiciele najmniejszej znanej człowiekowi inteligentnej rasy śmiało sobie poczynali w dziedzinie wyrobów mechaniki precyzyjnej.

Deeming oderwał oczy od zegarka i przesunął wzrok od przegubu ręki ku twarzy właścicielki. Nie przepadał specjalnie za zwierzętami, jednak kobiety, które znał, klasyfikował według kodu zoologicznego. Były więc wśród nich pisklątka, żabki, króliczki, suki – wedle skali atrakcyjności.

Tym razem miał przed sobą starą kozę.

Wyglądała tak, jakby udało jej się zmieścić sześćdziesiąt lat życia w trzydziestu kilku. Była już, na rauszu, mimo jeszcze wczesnego wieczoru; właśnie z tego powodu musiała się oprzeć o słupek czekając, tak jak on, na zmianę świateł. Nie zauważyła go, jeszcze, co mu odpowiadało, udawał więc równie zamyślonego, jak ona.

Poświęcę na to dwie godziny, pomyślał; po chwili jednak, gdy kobieta – zachwiała się lekko, a potem odzyskała równowagę zbyt szybko i zbyt dokładnie – jak przystało na pijanego, który przestaje zachowywać się godnie, a zaczyna się zataczać – zszedł do półtorej godziny. Zegarek będzie mój za półtorej godziny. Zakład?

Światła zmieniły się i Deeming wszedł na jezdnię przed kobietą. Za rogiem zatrzymał się, by popatrzeć na jej odbicie w wystawie, gdy się zbliżała. Szła sztywno, ale jednak zarzucało ją cokolwiek w lewo. Puścił ją przodem i ku swemu szczęściu ujrzał, jak wchodzi do cocktail-baru. Ruszył w przeciwną stronę, wszedł do restauracji, a tam prosto do męskiej toalety. Przez chwilę był sam i to mu wystarczyło: spod nosa zniknął sztywny, przystrzyżony wąsik; z oczu ciemnozłote szkła kontaktowe, tak że teraz oczy jego były niebieskie. Zaczesał przedziałek układając gładkie ciemne włosy w fale. Wyjął z kieszeni półcalowej grubości korki, które zmieniły mu chód dodając wzrostu, i tak już znacznego. Zdjął marynarkę i wywrócił ją na drugą stronę, przez co stracił ów szary, bezbarwny wygląd pasujący do pana Deeminga, drugiego

zastępcy kierownika recepcji w hotelu Rotoril, przybrał natomiast sportową, zawadiacką postawę Jimmyego Błyska. Jimmy Błysk pojawiał się zawsze i znikał w toaletach, ale nie ze względu na odosobnienie, tylko dlatego, że było to jedyne miejsce, do którego z pewnością nie zachodzili ci pieprzeni Aniołowie, którzy zresztą nie mieli po co, bo i tak nie jedli.

Wychodząc z restauracji Deeming miał tę przyjemną pewność, że nikt nie zauważył, jak do toalety wchodził on, a opuszczał ją Jimmy Błysk. Za rogiem otworzył drzwi cocktail-baru.

Deeming siedział ponury na brzegu łóżka. Podrzucił zegarek i złapał go w powietrzu.

Ostatecznie nie było to półtorej godziny, ale prawie dwie i pół. Nie wziął pod uwagę, że może jej aż tak bardzo zależeć na tym zegarku. Nie chciała go zdjąć, żeby mógł mu się przyjrzeć, i nie uwierzyła mu, że źle chodzi, a on potrafi go w sekundę wyregulować; musiał więc zastosować swój stary chwyt z kąpielą, o północy. Udało mu się tak ją wsadzić do samochodu, że nie dojrzała numeru rejestracyjnego, a potem zręcznie zaparkował nad rzeką w niewidocznym miejscu. Nie potrafił ocenić, jak bardzo była pijana. Kiedy opowiadała o swoim mężu – po którym pozostał jej właśnie tylko ten zegarek – zanadto wytrzeźwiała i trzeba było wielu uspokajających, miłych słówek, aby zmieniała temat rozmowy. W końcu jednak udało mu się namówić ją, żeby zdjęła ubranie i zegarek i położyła na brzegu rzeki; wtedy chwycił wszystko i pognął do samochodu, nim zdołała krzyknąć: „Och, Jimmy, nie możesz mi tego zrobić” – więcej niż dwa razy. Nie miał pojęcia, jak ona dostanie się do miasta, ale guzik go to obchodziło. W portmonetce znalazł piątkę oraz dowód osobisty. Pieniądze schował do kieszeni – było tego mniej więcej tyle, ile kosztowały postawione jej drinki – a resztę rzeczy spalił, włącznie z ubraniem. Czysta robota – a poza tym całkowicie niepodobna do innych jego wyczynów; nic z taką pewnością nie ściąga ludziom na kark Aniołów jak zwyczajna zbrodnia zwyczajnie popełniona. Powinien być dumny.

I był dumny, ale także ponury, a to go złościło. Zarówno ten ponury nastrój, jak i irytacja nie były mu obce i w żaden sposób nie mógł pojąć, czemu nawiedzają go właśnie zawsze po robocie. Miał wiele powodów do zadowolenia. Był wysoki, przystojny, sprytny jak Anioł, może nawet sprytniejszy; robił to już od tylu lat, a nigdy nawet się nie zanosilo na to, że go zwiną. Cholerne manekiny. Niektórzy twierdzą, że to roboty. Inni – że supermeni. Ludzie dotykają ich szat, bo to rzekomo przynosi szczęście, albo żeby im chore dziecko wyzdrowiało. Aniołowie nie śpią. Nie jedzą. Nie noszą broni. Kręcą się uśmiechnięci, pomagają, przypominają ludziom, żeby byli dla siebie dobrzy. W książkach piszą, że była kiedyś jakaś policja, wojsko. Już nie ma. Po co, skoro Aniołowie pojawiają się natychmiast, nie proszeni przez zainteresowane osoby, świętoszkowaci, z kuloodporną skórą.

Jasne, że jestem cwańszy od Anioła, myślał Deeming. A co to w ogóle jest taki Anioł? Ktoś, kto ma zasady, do których się stosuje. (Ja mam nieco więcej luzu.) Ktoś, kto od razu rzuca się w oczy swoim wyglądem, a jeszcze bardziej przez swoje sztuczki, złociste szaty i cały ten szpan.

(Ja za to jestem niepozornym gryziopiórkiem w podejrzanym hoteliku albo też obrotnym w języku nieuchwytnym farmazonem o lepkich palcach – to zależy od sytuacji).

Podrzucił zegarek do góry, złapał, popatrzył na niego i dalej był ponury. Zawsze był ponury, gdy mu się udało, a udawało mu się zawsze. Nigdy nie próbował niczego, co groziło wpadką.

W tym chyba cały problem, pomyślał wyciągając się na łóżku i patrząc w sufit. Mam w sobie tyle czadu, a wykorzystuję tylko część.

Nigdy przedtem tak o tym nie myślałem.

Łamię wszystkie reguły – ale z zabezpieczeniem. Zabezpieczam się bardziej niż jakiś urzędnik, który kupuje polisę na jazdę autobusem. Siedzę pod przykrywką, jak robak pod kamieniem. Jasne, że sam ją sobie nałożyłem; wolę to niż przykrywkę, nawet obszerną, ale nałożoną przez społeczeństwo czy religię. Ale i tak... niebo jest zamknięte. Potrzebny mi rozmach, ot co.

A może, myślał siedząc i spoglądając spode łba na trzymany w ręku zegarek, może potrzebny mi zysk wart tych pomysłów i zręczności, którą w to wkładam. Ileż to już lat pracuję uczciwie za grosze i kradnę ostrożnie za... no, powiedzmy, czasem za coś więcej niż grosze.

– A skoro już o tym mowa, to lepiej opchnę ten drobiazg, zanim tamten zabytek po astronautce znajdzie sobie listek figowy i policjanta z gwizdkiem do zagwizdania.

Podniósł się kiwając powoli głową z niesmakiem i życząc sobie w duchu, żeby choć raz, choć jeden cholerny raz mógł zrobić jakiś numer i mieć z tego frajdę, na jaką zasługuje.

Wyciągnął rękę ku drzwiom, które odpowiedziały mu stukaniem.

– No i widzisz, rzekł do siebie wciąż z tym samym niesmakiem, widzisz? Kto inny zmarłby teraz na miejscu, zbladł, wrzucił zegarek do regeneratora, zaczął się pocić, miotać, po pokoju jak szczur w klatce. A ty: stoisz zupełnie nieruchomo, myślisz trzy razy szybciej niż komputer ósmej generacji, sprawdzasz wszystko, włącznie z tym, co już zrobiłeś na wypadek takiej sytuacji – wąsik znów pod nosem, znów piwne oczy, obniżony wzrost, korki ukryte, w dwustronnej marynarce, a marynarka z kolei schowana za deską w szafie.

– Kto tam?

...Głos opanowany, puls spokojny – tak, głos Deeminga; puls sama niewinność – to nie przeszarżowany ton Jimmyego, i namiętne bicie serca. No więc skąd ponurość, chłopcze? Co jest z tobą, że tak nie cierpisz siebie i każdej sytuacji, w którą wpadniesz, tylko dlatego, że od samego początku wiesz, że tak świetnie dasz sobie radę?

– Czy mogę z panem chwilę porozmawiać, panie Deeming?

Nie znał tego głosu. To dobrze albo źle; zależy. Jeśli dobrze, to po co się martwić? A po co się martwić, jeśli źle?

Wrzucił zegarek do bocznej kieszeni i otworzył drzwi.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – powiedział krępy facet, który stał za progiem.

– Proszę wejść. – Deeming zostawił drzwi otwarte i odwrócił się plecami. – Niech pan siada.
– Zaśmiał się, niepewnym chichotem zastępcy zastępcy. – Mam nadzieję, że pan coś sprzedaje.
Nic nie kupię, ale miło mieć z kim porozmawiać.

Usłyszał, jak drzwi się dokładnie zamykają. Krępy facet nie usiadł ani się nie roześmiał.
Deemingowi nie spodobała się ta cisza, więc się odwrócił, czego tamten wyraźnie oczekiwał.

– Ma pan z kim porozmawiać – powiedział cicho. – Z Richardem E. Rockhardem.

– Wspaniale – odparł Deeming. – A któż to taki ten Richard E. Rockhard?

– Nie słyszał pan... hm, właściwie to nic dziwnego. O grubych rybach wiedzą wszyscy. Ale jak ktoś ma już takich ważniaków na posyłki, to wiadomo o nim nie więcej niż o jakimś młodszym referencie, panie Deeming... Słyszał pan o firmie handlowej Antares? Albo o Liniach Lunarnych i Zewnętrznych? Albo o Kopalniach Galaktycznych?

– To znaczy, ten Rockhard to...

– Nie tylko to, panie Deeming. Nie tylko.

Jimmy Błysk wytrzeszczyłby oczy i cicho gwizdnął. Deeming złożył dłonie i wyszeptał: –
O mój Boże...

– No więc? – zapytał, facet, odczekawszy chwilę na ciąg dalszy, którego nie było. – Pójdzie pan do niego?

– Chce pan powiedzieć... do Rockharda? Chce pan powiedzieć... ja? Chce pan powiedzieć... teraz?

– Chcę powiedzieć to wszystko.

– Ale dlaczego on... co... dlaczego właśnie ja? – zapytał Deeming skromnie, jak przystało na podrzędnego gryzpiórka.

– On potrzebuje pańskiej pomocy..

– O mój Boże. Nie mam pojęcia, co ja mógłbym takiemu człowiekowi... A może mi pan powie, o co chodzi?

– Nie – rzekł przybysz.

– Nie?

– Nie, poza tym, że to pilne, ważne, a opłaci się panu bardziej niż wszystko, cokolwiek pan w życiu zrobił.

– O mój Boże – powtórzył jeszcze raz Deeming. – No to niech pan lepiej poszuka jakiegoś Anioła. Oni pomagają ludziom. Ja nie potrafię...

– Pan potrafi to, czego Aniołowie nie potrafią, panie Deeming.

Deeming zaśmiał się w sposób, który wiele mówił o miejscu i roli maluczkich w świecie.

– Pan Rockhard uważa, że pan potrafi, panie Deeming. Pan Rockhard wie, że pan potrafi.

– On wie... o mnie?

– Wszystko – odrzekł krępy bez wahania.

Deeming poczuł przelotny żal, że nie zdecydował się zniszczyć zegarka. Zdawał mu się teraz tak wielki, niepewny i gorący jak miska zupy wetknięta do kieszeni. – Lepiej jednak zwrócić się do jakiegoś Anioła – podsunął ponownie.

Przybysz spojrział na drzwi i przysunął się bliżej.

– Zapewniam pana, panie Deeming – odrzekł cicho, lecz z przekonaniem – że w tym przypadku pan Rockhard nie może i nie chce tego zrobić.

– To mi wygląda na coś, czego lepiej nie tykać – odparł sztywno Deeming.

Facet wzruszył ramionami.

– Dobra. Nie, to nie. – Ruszył w stronę drzwi.

Deeming nie mógł się jednak tym razem powstrzymać.

– A co będzie – wyrzucił z siebie – jeśli odmówię?

Krępy nawet się nie odwrócił, by mu odpowiedzieć.

– Przyrzeknie mi pan, że zapomni o tej rozmowie – rzekł od niechcienia – szczególnie, jeśli zapyta pana o to któryś z tych panów w ładnych szatkach.

– I to wszystko?

Po raz pierwszy na niewzruszonej twarzy pojawił się cień rozbawienia.

– Poza tym, że do końca dni będzie się pan zastanawiał, co pan stracił.

Deeming zwilżył wargi.

– Niech mi pan powie tylko jeszcze jedno. A jeśli pójdę do pańskiego Rockharda, porozmawiam z nim, a mimo to zechcę odmówić?

– To panu, oczywiście, wolno. Jeśli pan zechce.

– Chodźmy – zdecydował się Deeming.

Znajdowali się już nad miastem w luksusowym śmigłowcu, kiedy przyszło mu do głowy, że słowa „jeśli pan zechce”, wypowiedziane w taki sposób, jak to zrobił krępy facet, mogą mieć wiele znaczeń. Odwrócił się do niego, by się odezwać, ale twarz tamtego, przez sam spokój, który się na niej malował, wyrażała jedno: że jest to człowiek, który swoje zadanie wykonał i nie doda już ani jednego słowa.

Richard E. Rockhard miał popielato-błękitne włosy i niebieskie, zimne jak lód oczy; jego słowa waliły w człowieka jak ostrze topora, celnie, nie bacząc na odpryski. Ostrze tego topora było wyostrzone dokładnie – jak brzytwa. Deeming nie wątpił, że ten człowiek to Kopalnie Galaktyczne i tamte inne rzeczy. Nie miał również wątpliwości, że Rockhard potrzebuje pomocy. Twarz miał porytą bruzdami, a szkarłatne siateczki naczyń w białkach oczu z braku snu nabiegły krwią. Oto był człowiek, który mówił prawdę, bo nie miał czasu na kłamstwa..

– Jest mi pan potrzebny, Deeming. Zakładam, że pan mi pomoże, i wobec tego przedstawię swoją sprawę – powiedział, gdy znaleźli się sami we wspinałym gabinecie wewnątrz niewiarygodnego wprost apartamentu. – Daję panu słowo, że dopóki pan się nie zdecyduje udzielić mi pomocy, nic panu z mojej strony nie grozi. Jeśli jednak przyjmie pan moją propozycję, musi pan wiedzieć, że niebezpieczeństwo jest znaczne. – Skinął głową do siebie samego i powtórzył: – Znaczne.

Deeming, recepcjonista w hotelu, zdołał w myśl tej wersji powiedzieć tylko: – Panie Rockhard, jestem zaskoczony, że zwrócił się pan do kogoś takiego jak ja w sprawie... – ponieważ Rockhard uderzył dłońmi w biurko i wychylił się nad nim do połowy.

– Panie Deeming – odezwał się łagodnym, lecz pełnym napięcia głosem, który przypominał silnik na jałowym biegu gotów w każdej chwili ruszyć – wiem o panu wszystko. Wiem, ponieważ potrzebny był mi ktoś taki, jak pan, a mam odpowiednie środki, by go znaleźć. Niech pan sobie zgrywa szarego człowieczka, skoro to panu odpowiada, ale pan się myli sądząc, że mnie to zmyli. Pan nie jest przeciętnym człowiekiem, inaczej – mówiąc prościej – nie byłoby pana tu w tej chwili, bowiem przeciętny człowiek nie skusiłby się na coś, co jak wie, jest występkiem w oczach Aniołów.

Deeming odrzucił więc pozę szarego, nieśmiałego faceta, uprzejmość i respekt charakterystyczne dla zastępcy zastępcy.

– Nawet dla człowieka nieprzeciętnego – powiedział – oznacza to ryzyko.

– Myśli pan o mnie? Mnie z pana strony nic nie grozi, Deeming. Pan by mnie nie wydał, nawet gdyby pan wiedział, że nie mogę się zemścić. Pan nie lubi Aniołów. Pan nigdy jeszcze nie spotkał nikogo drugiego, kto by ich tak nie lubił. Dlatego lubi pan mnie.

Deeming musiał się uśmiechnąć. Skinął głową. Ciekawe, pomyślał, kiedy da mi odczuć, że jeśli mu nie pomogę, będzie mnie szantażował?

– Nie mam zamiaru pana szantażować – powiedział znienacka starzec. – Chcę pana w to wciągnąć obietnicą nagrody, a nie wepchnąć groźbami. Pan jest człowiekiem, którego chciwość przewyższa strach. – Uśmiechał się jednak, gdy to mówił. Potem zaś, nie czekając na jakąkolwiek reakcję, przedstawił swoją propozycję. Zaczął mówić o swoim synu.

– Kiedy ma się nieograniczone dochody i jedynego syna, człowiek początkowo myśli, że znajdzie w nim jakby przedłużenie siebie – bo to twoja krew i chcesz oczywiście, żeby poszedł w twoje ślady. Kiedy ci jednak przyjdzie do głowy, że mógłby z tej drogi zboczyć – a uświadamiasz to sobie zwykle, gdy jest już za późno – puszczasz sprawą na żywioł, zakładając wygodnie, że naciskami załatwisz to, w czym geny okazały się bezsilne.

W końcu stajesz przed wyborem – nie: czy utrzymać syna, czy go stracić; tego wyboru już nie masz – otóż stajesz przed wyborem, czy się go wyrzec, czy też dać mu spokój. Jeśli zależy ci bardziej na sobie i tym, co zbudowałeś, niż na synu, wyrzucasz go i niech idzie do diabła. Ja –

zamilkł, zwilżył wargi i szybkim spojrzeniem obrzucił twarz Deeminga, potem zaś swoje złożone ręce – ja zostawiłem go w spokoju.

Przez chwilę milczał; potem zaś rozerwał splecione dłonie i położył je delikatnie przed sobą jedną obok drugiej.

– Nie żałuję tego, bo pozostaliśmy w przyjaźni. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi; pomagałem mu, jak tylko mogłem, to znaczy powstrzymywałem się od pomocy, kiedy chciał postąpić po swojemu, a dawałem mu wszystko, o co poprosił, niezależnie od tego, czy moim zdaniem było warto, czy nie. – Uśmiechnął się nagle i wyszeptał bardziej do swych nieruchomych rąk niż do Deeminga: – Takiemu synowi, jeśli chce pomalować sobie brzuch na niebiesko, kupujesz farbę. – Spojrzał na Deeminga. – Jego niebieską farbą była archeologia; kupiłem mu ją. Wyeksploatowane stanowiska, czysta wiedza, z której nigdy nie będzie miał chleba. Dla mnie to żaden zawód, ja myślę innymi kategoriami, ale Donald o niczym innym nie chciał słyszeć.

– Jest jeszcze sława – odezwał się Deeming.

– Nie w przypadku tej wyprawy. Ten chłopak chce zniknąć, przestać istnieć, stać się niczym, idąc śladem, który prawie na pewno prowadzi donikąd, ale jeśli nawet dokądś prowadzi, to tylko do jakiejś osobliwości dla erudyty typu kamienia Champolliona, papirusów z Morza Martwego czy języków zamarych w piezokryształach z Phygmo IV. – Rozpostarł ręce i ponownie je opuścił. – Niebieska farba. I ja mu ją kupiłem.

– Co pan ma na myśli mówiąc „przestać istnieć, zniknąć”? Nie znaczy to przecież „umrzeć”?

– Bardzo dobrze, Deeming. Jest pan wyjątkowo bystry. Oznacza to, że aby pójść za tym swoim kwiatem paproci, mój syn musi narazić się Aniołom. Nie mogą go powstrzymać, ale mogą na niego zaczekać, aż będzie wracał. Kupiłem mu więc jeszcze jedną puszkę farby – bilet na Grebd.

Deeming odruchowo cicho zagwizdał. Nazwę Grebd nosiło słońce, krążąca wokół niego planeta i miasto na tej planecie – w obrębie Worka Węgla. Tamtejsi mieszkańcy opanowali metodę pseudochirurgiczną znacznie bardziej zaawansowaną niż wszelkie inne zabiegi znane w zbadanej części Kosmosu. Potrafili dowolną istotę zmienić tak dalece, jak sobie tego życzyła, nawet jej budowę biochemiczną opartą na węglu na budowę opartą na łańcuchu borowym; albo i takie subtelnosci jak zmiana wykrywalnej charakterystyki fal mózgowych, układu naczyń w siatkówce czy nawet nosa. Potrafili odtworzyć (wyhodować?) całego człowieka dosłownie ze strzępu jego ciała, pod warunkiem, że komórki jeszcze żyły. A co najważniejsze, umieli przeprowadzać te wszystkie zmiany, obojętne, jak radykalne, pozostawiając nie naruszony (na żądanie) świadomy umysł.

Jednak cena remontu kapitalnego tej miary przekraczała granice rozsądku – chyba że motywy mieściły się w tych granicach. Deeming spojrzał na starca z nie ukrywanym podziwem. Nie tylko był on w stanie zapłacić taką cenę, ale i chciał – chciał nawet w sprawie, której nie

popierał. Żeby tak się troszczyć o syna – żeby troszczyć się tak bardzo mając obecnie tę tylko nadzieję, że spotkasz przypadkiem zupełnie obcego człowieka, który może weźmie cię na bok i szepnie: „Cześć, tato”, ale dla którego nie możesz nic już więcej zrobić... Bo jeśli ów syn przekroczył tak drastycznie zarządzenie Aniołów, że aż potrzebna mu jest wyprawa na Grebd, to przecież Aniołowie nie spuszczą oka ze starszego pana do końca jego dni – tak że nie odważy się nawet uśmiechnąć do tego nieznanego. Takie wykroczenie równa się śmierci. Czy w tej sytuacji ojciec odważy się choćby uścisnąć dłoń synowi? – Na miłość boską – szepnął Deeming – a czego on aż tak bardzo zapragnął?

– Jakiegoś glifu. Istnieje teoria, że cywilizacja Aldebarana powstała z tych samych korzeni etnicznych co cywilizacja na Planetach Massona. Dla mnie brzmi to nonsensownie, ale nawet jeśli to prawda, i tak nie ma w tym wiele sensu. Jednak pewne nikłe ślady wskazują na planetę zwaną Revelo. Tam mogą się znajdować wytwory cywilizacji, które by dowodziły słuszności tej tezy.

– Nigdy o niej nie słyszałem – rzekł Deeming. – Revelo... n-nie. No więc dokonuje on swojego odkrycia. Jedzie na Grebd. Poddaje się całkowitej przemianie. I nigdy w życiu nie może przyznać się do autorstwa odkrycia, którego dokonał.

– Teraz pan widzi, jaki jest Donald – powiedział starzec z ironią. – Jemu chodzi tylko o dokonanie odkrycia. Nie zależy mu na tym, komu przypiszą zasługę.

Popatrzyli na siebie nawzajem, dzieląc brak zrozumienia. W końcu Deeming skinął lekko głową na znak, że to nieważne, czy rozumie, czy nie. Jeśli Donald Rockhard jest niespełna rozumem, to jego sprawa.

– A skąd w tym wszystkim Aniołowie?– zapytał.

– Revelo – powiedział starzec – to planeta zamknięta.

No więc, pomyślał natychmiast Deeming, to po krzyku, w czym problem? Planeta zamknięta jest zawsze otoczona specjalnym polem; jeśli przez, takie pole przeniknie jakiś migowiec, to wszystko, co żywe na pokładzie, natychmiast przestaje żyć. Jeśli Donald znalazł się na Revelo, to Donald nie żyje. Jeśli natomiast po drodze wyrwało go z nadprzestrzeni zewnętrzne pole ostrzegawcze, to znaczy, że nigdy nie wylądował na Revelo, nie złamał zakazu Aniołów i nie znalazł się w trudnym położeniu. Deeming powiedział to na głos.

Rockhard powoli zaprzeczył ruchem głowy.

– On w tej chwili znajduje się na Revelo, żywy. O ile wiem – dodał.

– Niemożliwe – stwierdził kategorycznie Deeming. – Nie można przelecieć przez pole wokół planety zamkniętej i pozostać przy życiu.

– Słusznie – powiedział starzec – a mimo to on tam jest. Niech pan słucha; powiem panu coś, co poza mną wiedzą jeszcze tylko cztery osoby. Istnieje możliwość przedostania się na planetę zamkniętą.

Cztery lata temu jeden z moich statków natknął się na wrak. Bóg jeden wie, skąd pochodził. Był cały potrzaskany, ale na pokładzie znajdowały się dwie nie uszkodzone łodzie ratunkowe. Łodzie ratunkowe wyposażone w migonapęd.

– Łodzie? W takim razie musiały być wielkości statków.

– Nie te. Poruszają się one tak samo, jak nasze migowce, ale nie w ten sam sposób. Jeszcze nie ustalono, jak to się dzieje, choć jeden z moich ludzi nad tym siedzi. Kapitan mojego frachtowca sprowadził je dla mnie, do mojej kolekcji statków kosmicznych, nie wiedząc, co wiezie. Doszliśmy do tego przypadkiem. Wyposażyliśmy je w stery naszego typu, ale choć wiemy, jakie naciskać guziki, nie wiemy, jakie procesy zachodzą, kiedy je naciskamy. Funkcjonują one nie lepiej niż nasze migowce, – nie było więc sensu przesyłać informacji o nich do mojego Działu Racjonalizacji. A kiedy ustaliliśmy, że potrafią przenikać przez pole wokół planet zamkniętych, postanowiliśmy trzymać język za zębami. Mam swoje zdanie o Aniołach, ale muszę przyznać, że kiedy zamykają jakąś planetę, to nie bez ważnego powodu. Może być tam zaraza skalna, może występować yinyang. A może po prostu jest ona zabójcza dla ludzi z powodu promieniowania słonecznego lub obecności jakiejś hormonalnej toksyny.

– Jasne – zgodził się Deeming – Nantha, Sirion i ta diabelna planeta Keth. – Zadygotał. – To dobrze, że trzymają nas od niej z dala. Chyba ma pan rację, Aniołowie w tym przypadku wiedzą, co robią... A co takiego jest na Revelo, że została zamknięta?

– Jak zwykle, nic nie mówią, To może być cokolwiek. Jak powiedziałem, w tym przypadku im ufam i nie mam zamiaru rozpowszechniać urządzeń pozwalających komukolwiek dostać się na taką planetę.

– Z wyjątkiem Donalda.

– Z wyjątkiem Donalda – przyznał Rockhard. – Tutaj nie mam usprawiedliwienia. Jeśli tam od czegoś zginie, to na takie ryzyko przystał. Jeśli przywlecze coś przez nieuwagę, to zajmą się tym na Grebd. A wiem, że celowo nie przywiezie niczego w rodzaju na przykład nasion yinyang. Wytłumaczyłem się, co? – Głos mu się zmienił, jak gdyby jakiś wewnętrzny organista zamknął wszystkie rejestry i wyciągnął nowe. – Proszę mi nie mówić, że nie powinienem był tego robić. Sam to wiem. Wtedy też wiedziałem. Ale zrobiłbym to raz jeszcze, słyszy pan? Zrobiłbym to raz jeszcze, gdyby tego chciał.

Nastąpiła cisza; Deeming odwrócił głowę, jak przystało na człowieka dyskretnego.

– Stwierdziliśmy już, w jaki sposób owe niewielkie obce migowce przedostają się na planety zamknięte. Odwracają kierunek przebiegu energii w polu ochronnym. Jako analogia może posłużyć biegunowość generatora prądu stałego. Stwierdziliśmy – dodał niewesoło – że migowiec trafia wtedy na powierzchnię planety bez szwanku. Dopiero kiedy stamtąd wylatuje, pole zabija wszystkie żywe istoty na pokładzie.

Uniósł głowę i spojrzał na Deeminga niewidzącymi oczyma.

– Donald tego nie wie – wyszeptał..

– O – mruknął Deeming. – Domyślam się – powiedział po chwili z niedowierzaniem -, że pan chce, żebym ja... żeby ktoś tam poleciał i mu to powiedział.

– Powiedział mu? I co mu z tego przyjdzie?

– A czy migowiec nie może odwrócić pola po raz drugi?

– Nie od wewnątrz. Poza tym ten przykład ze zmianą biegunowości to tylko analogia, Deeming. W gruncie rzeczy chodzi o coś innego: trzeba mu zawieźć to. – Z szuflady biurka wyjął dwa maleńkie walce. Oba razem były krótsze od jego małego palca, a ich średnica mniejsza od średnicy ołówka. Deeming podniósł się i wziął jeden z nich. Były na nim cztery odrębne, sztywno zamocowane na karkasie uzwojenia: toroidy, składające się z tysięcy zwojów mikroskopijnie cienutkiego drutu. Z jednej strony znajdowało się ośmiokątne zagłębienie, w które zapewne wchodził obracający się trzpień, a także mocujący zatrzask sprężynowy. Drugi koniec przechodził jakby w stan niematerialny: nie był ani przezroczysty, ani matowy, ale zarazem i jedno, i drugie, a przy tym patrzeć na niego dłużej niż przez sekundę czy dwie budziło niepokój.

– Wymienne cewki do migopola – stwierdził – ale nigdy nie widziałem takich małych. Czy to modele?

– Nie, są prawdziwe – odparł Rockhard znużonym głosem. – I w zasadzie jest to ulepszona wersja tego, co było w tamtych łodziach ratunkowych. Najwyraźniej ich budowniczy nigdy nie natrafili na śmiertelną pułapkę typu tych, jakie zastawiają Aniołowie, bo z pewnością wymyśliliby coś podobnego.

– Jak one działają?

– Do częstotliwości migopola wprowadzają czynnik przypadkowości w miarę zbliżania się do strefy zamkniętej. Podobnie, jak działa migopole powodując w efekcie, że statek przestaje istnieć w normalnej przestrzeni i nie istnieje przez żaden wymierny przeciąg czasu w postaci realnej masy, dzięki czemu może przekroczyć prędkość światła, tak samo ta cewka wykrywa i analizuje częstotliwość pola śmierci Aniołów, po czym zestrąja się z nią. Pole śmierci nie może zabić nikogo, bowiem zbliżający się statek przestaje istnieć, zanim w nie wejdzie, i nie powraca do istnienia, dopóki przez pole nie przeleci. W przeciwieństwie do tamtego urządzenia, którego używał Donald, to tutaj nie wpływa na pole ochronne ani nie odwraca jego biegunowości.

– Jeśli więc Donald dostanie jedną z tych cewek i wstawi ją za miast swojej...

– Może zapomnieć o istnieniu pola ochronnego Aniołów.

– Na Revelo i na każdej planecie zamkniętej. – Deeming podrzucił cewkę w powietrze i schwycił ją. Trzymając ją w górze patrzył po nad nią na Rockharda. – Mam oto w ręku cały Kosmos zbrodni – po wiedział spokojnie.

– Ma pan w ręku każdą cholerną zarazę i każde, niebezpieczne zielsko znane ksenologii –

zgodził się Rockhard.

– I yinyang. A to oznacza grubą forszę – powiedział Deeming z namysłem. Yinyang (którego nazwa pochodziła z połączenia dwóch starochińskich słów *yin* i *yang*), dwubarwna tarcza przedzielona linią w kształcie litery S, zawierająca w sobie wszelkie przeciwieństwa – dobro i zło, światło i ciemność, męskość i kobiecość i tak dalej – przy czym kwiaty stanowiły prawie doskonałe odwzorowanie owego symbolu w kolorze czerwonym i niebieskim, a był to najzjadliwszy znany narkotyk, nie tylko dlatego, że był silny i praktycznie niepodatny na kuracje odwykowe, ale i dlatego, że pięciokrotnie zwiększał inteligencję oraz dwu – a nawet trzykrotnie siłę fizyczną człowieka uzależnionego, zamieniając go w monstrum o władnięte wyłączną żądzą niszczenia wszystkiego i wszystkich na drodze do źródła narkotyku, zdolne przetrzymać, przechytrzyć, pokonać i prześcignąć pozostałych przedstawicieli swojej rasy.

– Jeśli pan naprawdę myśli o tym, żeby zrobić pieniądze na yinyangu, to jest pan świnią – odezwał się spokojnie Rockhard – ale jeśli to miał być żart, to jest pan durniem.

Deeming przez chwilę patrzył mu w oczy, potem spuścił wzrok. – Ma pan rację – wymamrotał. Położył ostrożnie cewkę na biurku obok drugiej.

– Pan mnie niepokoi, Deeming – rzekł Rockhard. – Gdybym wiedział, że chce pan użyć tych cewek do czegoś takiego... Donald może umrzeć, wie pan. Umarłby z radością, gdyby wiedział.

– Czy widział pan kiedyś człowieka – powiedział trzeźwo Deeming – który byłby skłonny złamać zakaz Aniołów, a jednocześnie nie chciałby sięgnąć po coś, co ma w zasięgu ręki?

– Trafiał pan – rzekł Rockhard z krzywym uśmiechem. – Ma pan głowę na karku. No więc, czy wie pan już, o co chodzi? Ma pan polecieć na Revelo drugą z tych łodzi, wyposażoną w taką cewkę. Prześliznie się pan przez pole, znajdzie Donalda, powie mu, co wykryliśmy, i wymieni jego cewkę na tę drugą. I wtedy on leci na Grebd po swój... kamuflaż.

– A co ja robię?

– Wraca pan z wiadomością od Dona. On będzie wiedział, co ma mi przekazać. Kiedy to usłyszę, zorientuję się, czy wypełnił pan swoje zadanie.

– A jeśli nie wypełnię, to nie wrócę – odrzekł Deeming bez ceregieli zdając sobie jednocześnie sprawę, że w którymś momencie tej rozmowy zdecydował się na tę szaleńczą misję. – A co pan zrobi, kiedy przylecę i powiem „Zadanie wykonane”?

– Nie będę wymieniał sumy. To będzie trochę tak, jak z zarobkami najwyższych urzędników, panie Deeming. Po przekroczeniu pewnej granicy nie mówi się już o pensji, ale po prostu zaczyna się brać na pokrycie wydatków – wszelkich, wydatków – pod zastaw udziałów. Kiedy owe udziały sięgają pewnej wysokości, firma przestaje rejestrować wypłaty. Z panem będzie tak samo. Będzie pan brał, ile panu potrzeba, tak często, jak będzie pan miał ochotę, do końca życia. Jeden człowiek mógłby w ten sposób zniszczyć firmę, wyrzucając pieniądze w błoto, ale musiałby się tym zajmować codziennie przez cały dzień w ciągu dłuższego czasu.

– My... hm... nie spisaliśmy żadnej umowy, panie Rockhard.

– Tak jest, panie Deeming..

On chce przez to powiedzieć, pomyślał Deeming, „możesz mi ufać”. I mogę. Ale nie mogę mu tego powiedzieć! Zaprzeczyłby.

– Powinien pan dać mu umrzeć – powiedział z okrucieństwem.

– Wiem – odparł Rockhard.

– Jestem straszliwym głupcem – rzekł Deeming – ale podejmę się tego.

Rockhard wyciągnął dłoń i Deeming ją przyjął. Dłoń była ciepła i mocna, a kiedy ją puścił, odsunęła się powoli, jakby żałując utraty kontaktu, nie zaś (jak w przypadku niektórych) cofając się z ulgą. Był to człowiek, który nie rzucał słów na wiatr.

Jeszcze jeden rodzaj straszliwego głupca, pomyślał, jeśli się dobrze nad tym zastanowić.

Dlaczego ja?

To było pytanie podstawowe, pytanie zasadnicze, pytanie o główną nagrodę, o wszystko, co zdarzyło się między tamtym pierwszym spotkaniem i dniem, w którym mignął ku Revelo. Ale wtedy już znał odpowiedź.

Początek na Ziemi, załatwienie drobnej sprawy na Revelo i powrót. Gdyby to było tylko tyle, nie mieszałby w to Deeminga. Mógłby to zrobić ów bezimienny krępy facet, nawet sam starszy pan.. Były jednak pewne... drobiazgi.

Deeming przeszedł dwa nie kończące się szkolenia. Dostał nową cewkę; do niego należało tylko włączenie jej w obwód statku. Ale statek był ukryty z dala od Ziemi.

No dobrze, przypuśćmy, że mamy już statek; pozostaje tylko wrzucić żeton kierunkowy Revelo do autopilota i nacisnąć guzik.

Ale nie miał żetonu Revelo. Nikt nie miał takiego żetonu. Nawet niewiele osób wiedziało, gdzie on, się znajduje. Oczywiście istniał taki żeton. W archiwach Astro City na planecie Ybo. Będzie więc musiał zdobyć ten żeton. Archiwa...

Archiwa znajdowały się w budynku Szta bu Aniołów.

No więc, jeśli będzie miał statek i żeton i jeśli Rockhard miał rację, że nowa cewka będzie działała jak trzeba, nie tylko przenosząc go przez pole śmierci, ale i z powrotem, i gdyby to wszystko udało się załatwić bez zwracania na siebie uwagi Aniołów (Rockhard był zdania, że Don na pewno już się im podłożył odwracając pole), to ów nowy model, który nie narusza pola, ani na nie nie wpływa, powinien umożliwić Deemingowi przedostanie się na Revelo oraz – już z Donaldem – ucieczkę stamtąd bez pobudzania zabezpieczeń alarmowych, jeśli są takie. Gdyby więc przez jakiś nieokreślony czas Aniołowie działali zgodnie ze swymi pierwszymi informacjami (że na planecie pojawił się jeden statek, a żaden jej nie opuścił) i gdyby Donald Rockhard znajdował się jeszcze przy życiu i wiedział, jaką wiadomość przekazać ojcu, i gdyby Deeming wrócił szczęśliwie, a Rockhard właściwie zrozumiał wiadomość od syna, i gdyby, po

tym wszystkim, dał to, co obiecał, to byłby to całkiem niezły interes. A poza tym, coś takiego, co tylko człowiek pokroju Deeminga ma szansę zrealizować.

No więc były te dwa długie szkolenia z Rockhardem i jego zastępcą do spraw naukowych Pawlingiem (z którego wywodów Deeming rozumiał ledwie co dziesiąte słowo oraz pośpieszmy powrót do własnego mieszkania, gdzie napisał odpowiednie listy do kierownictwa hotelu, w którym pracował, do administracji domu, do hurtowni spożywczej, do zakładu usług remontowych, do służby łączności i tak dalej, i tak dalej, nie wyłączając odesłania zegarka starej kozy tam, gdzie mu się to najbardziej opłaci, oraz zapłacenia rachunków za alkohol, odzież i garaż, i, i, i... („Mała pszczołka pracowała i od tego zwariowała” – podśpiewywał sobie bez sensu wykonując te wszystkie czynności, które miały upewnić otaczający go ul ludzki, że nie trzeba się niepokoić, nic szczególnego się tu nie dzieje, słowo honoru). Kiedy miał już to za sobą, wszystko było gotowe, by mógł podjąć za parę tygodni normalne życie, a jeśli nie, to czekał już kolejny plik listów do przedsiębiorstw, służb i usług, zawiadamiających o drobnym wypadku oraz usprawiedliwiających następne dwa tygodnie nieobecności, a potem jeszcze jedna porcja obwieszczająca o jakimś zajęciu na planecie Bluebutter gdzieś w Mgławicy Kraba, w końcu zaś pozdrowienia dla barmana – Jak się masz Joe? – które wysłane zostaną pod koniec drugiego roku. O ile w ogóle trafią one na Poczta, to przyjdą w półtora roku po jego śmierci. Jeśli kiedyś miewał Pietra, to pisząc te pozdrowienia czuł, jak go przechodzą ciarki.

Przyszedł dzień (czy naprawdę to tylko cztery dni temu wybierał się z zegarkiem do pasera i usłyszał stukanie do drzwi?) wyjazdu. Rockhard uściśnął mu dłoń i Deeming po raz drugi poczuł ów ciepły dotyk i jednocześnie ujrzał coś w starych, zimnych oczach, co można było nazwać tylko błaganie. Gdyby to błaganie przybrało formę słów, jakie by one były? „Uratuj mi mojego chłopca”. Albo: „Nie zawieźdź mnie”. Albo może: „Zaufaj mi; żebyś nigdy we mnie nie zwątpił”. Lub też: „Jesteś ulepiony z tej samej gliny co ja, chłopcze – w podlejszym wydaniu, ale z tej samej, więc... trzymaj się, jakby co”. Wręczył mu tyle pieniędzy, ile Deeming nie miał jeszcze w ręku od tamtej nocy, kiedy to przy pokerze zgarnął wszystko ze stołu, a potem stracił do faceta, który wygrał następne rozdanie. Ale tym razem były to tylko pieniądze na drobne wydatki, nawet nie wliczone w umowę. Rockhard pewnie nigdy nie podejrzewał, jak blisko był utraty wynajętego przez siebie, człowieka z powodu rozmiarów owego „kieszonkowego”. A może właśnie podejrzewał. Bo od tej chwili łatwiej byłoby Deemingowi pozbyć się własnego cienia niż krępego faceta Rockharda.

A czy udał się w drogę rozparty na luksusowym siedzeniu limuzyny patrząc na tłum przyjaciół powiewający za nim chusteczkami z okien bloku? Guzik. Wyjechał z domu w skrzyni samochodu dostawczego, który dotarł na podwórko budynku nie wiadomo gdzie. Zaprowadzono go bez słów do jakiegoś pomieszczenia, wbito w skafander i wciśnięto do komory nie wyższej

niż skrzynia na pościel w tapczanie, a przy tym męcząco okrągłej, ponieważ jej średnica była o dwie dłonie mniejsza niż jego wzrost, tak że nigdy nie mógł się całkowicie wyprostować. Przyspawano pokrywę, w tym momencie stwierdził, że jego rurka odbytowa nie chce się przekręcić o ową jedną czwartą obrotu, która otwiera drogę do regeneratora. Stracił prawie całą noc usiłując ścisnąć ją pośladkami, które najwyraźniej okazały się za mało chwytny, a w miarę upływu czasu zaczynały domagać się uznania swoich potrzeb, których spełnienie, przysięgłby, nie leżało w jego możliwościach. Nie miał jednak racji; drogą „małych kroków” udało mu się w końcu otworzyć ujście, po czym długo leżał zlany potem z wysiłku i ulgi. A później przez jego więzienie przepłynęło więcej czasu, niż taka klatka miała prawo pomieścić, kiedy nie było nic do roboty poza myśleniem.

A mógł tylko myśleć, raz po raz, o tym, że właściwie więzienie to nie było dlań ani zbyt niewygodne, ani męczące, bo chyba był do czegoś podobnego przystosowany. W końcu od paru lat miał w tej swojej dziurze hotelowej nie mniej ciasno niż w tej metalowej puszcze. Jego wypadki pod postacią Jimmiego Błyska podlegały podobnym ograniczeniom: braku czasu, braku odpowiednich celów oraz przez wszędobylskich Aniołów z ich dobrymi, mądrymi twarzami i wyrozumiałością – niech ich wszystkich piekło pochłonie. Podobno nie sposób było żadnego z nich zabić, ale wiele dałby za to, żeby dostać takiego pod choinkę i popróbować różnych metod, powiedzmy, do lata. To oni, bardziej niż ktokolwiek inny, zamknęli mu niebo, tak że musiał wszędzie chodzić ze spuszczoną głową. Próbował sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby jego własne niebo pozwoliło mu podskoczyć wysoko i zakląć tak, żeby wszyscy słyszeli, a im – cholere w bok: ale marzenia te były tak odległe od tego, do czego przywykł, że wrócił do niewygodnej myśli, że nie jest mu tu aż tak niewygodnie; i tak krążył w tym zamkniętym kole doznań, pod zamkniętym niebem. Cholera by wzięła tych potężnych, łagodnych Aniołów – jak by to było, gdyby się wybił? Ale nie mogę sobie tego wyobrazić tu w tym zamknięciu.

A potem zasnął, a jeszcze później powierzchnia, na której leżał, zadudniła i przechyliła się, i – wyobraźcie sobie – był to dopiero następny ranek.

Włączył swój penetroskop i czekał niecierpliwie, aż jego pseudotwarde promieniowanie przedrze się przez berylową powłokę kadłuba i obraz się wyostrzy. Jego więzienie unosił dźwig, by postawić je na niskiej platformie transportowej, która ruszyła natychmiast po złożeniu ładunku. Z łoskotem wjechała na płytę startową, gdzie czekał już statek, brzuchem na dół, niczym bezskrzydły owad wsparty na sześciu przegubowych nogach, z których jedna nie miała stopy i wobec tego podtrzymywał ją w powietrzu wysoki podnośnik, niczym stajenny przytrzymujący uszkodzone kopyto konia czekając, aż drugi wróci z kojącym balsamem.

Platforma znalazła się pod nogą i Deeming aż zamrugał z powodu łoskotu i zgrzytów, które dobiegały go z góry, kiedy jego grobowiec mocowano do podpory ładownika, by stał się jej częścią. Potem nastąpiła chwila spokoju, kiedy usunęli się monterzy i pomocnicy, zamknięto na

głucho luki i śluzy, a załoga zajęła stanowiska. Gdzieś rozległ się gwizdek: Deeming usłyszał go przez radio swojego skafandra, które przekazało mu ten dźwięk z interkomu, a ten z kolei z mikrofonu zewnętrznego na pancerzu statku. Gwizd zamilkł, zastąpiony dudniącym pomrukiem prostujących się nóg, unoszących statek z ziemi po to, aby główną część zabieranej migopolem ziemskiej materii stanowiło powietrze.

A potem Ziemia zniknęła bez ostrzeżenia, a statek znalazł się o całe lata świetlne od lądowiska, nim jeszcze huk implozji targnął kiszka. Deemingowi żołądek podszedł do gardła, lecz po chwili wróciło ciężenie, a wraz z nim obraz w penetroskopie: szarozielona równina, na której widniało kilka walcowatych budynków i sześć stanowisk lądowania.

W tym cały problem z dzisiejszymi lotami kosmicznymi, pomyślał ponuro. Kosmosu w nich za Boga nie uświadczysz.

Statek wisiał w powietrzu ze trzysta metrów nad lądowiskiem zasilając swój antygravitator strumieniem energii ze znajdującego się w dole generatora. Zaczął się powoli zniżać, kierując się ku jednej z nie zajętych platform.

Była to platforma czwarta.

Zgodnie z tym, co powiedziano mu podczas szkolenia, miała to być platforma szósta, Z rosnącym niepokojem stwierdził, że numer szósty zajęty był przez mały migowiec sportowy.

Tylko w jednym miejscu miał szansę wydostać się ze swego więzienia, a miejsce to znajdowało się na platformie szóstej. Nikt spośród załogi statku nie wiedział, że Deeming tu jest. On sam nie był nawet pewien, skąd ten statek przyleciał, ani dokąd zmierza, ani też na jakiej planecie znajduje się w tej chwili! Jeśli wyląduje na innej platformie, będzie musiał pozostać w ukryciu, po czym polecą dalej z całym statkiem i albo zdechnie z głodu, albo będzie się darł przez radio, aż zostanie wyciągnięty w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze przez niewłaściwych ludzi.

Włączył nadajnik i nastroił na częstotliwość lądowania.

– Pyskaj stąd, kapitanie. Numer szósty jest nasz – powiedział stanowczym głosem. Miał nadzieję, iż kontrola lotów pomyśli, że to ktoś z załogi mówi do kapitana, podczas gdy kapitan – będzie – przekonany, że to kontrola lotów.

Usłyszał jakieś mruknięcie z interkomu, ale nie zrozumiał ani słowa. Statek wyhamował, lecz po chwili znowu zaczął opadać. Deeming czekał w napięciu błagając swój mózg, by coś wymyślił, cokolwiek, a potem dosłownie rozplakał się z ulgi, gdy zobaczył odzianą w skafander figurkę, która wybiegła z budynku i pognęła do migowca stojącego na platformie szóstej. Stateczek uniósł się w górę i wylądował w czwórce, a ten, w którego nodze tkwił Deeming, osiadł na przeznaczonej mu platformie.

Przez chwilę leżał cały rozdygotany, a potem uśmiechnął się. Zastanawiał się, czy kapitan i oficer kontroli lotów pomyślą później nad piwem, żeby zapytać siebie wzajemnie, kto to kazał

pryskać. Właśnie w ten sposób, orzekł Deeming, zaczynają się bójki w lokalach.

Raz jeszcze omiół penetroskopem teren dookoła, a potem już nie zwracał uwagi na scenerię. Schwycił metalowy pierścień wystający z podłogi komory i przekręcił go. Ledwie słyszał lekkie tykanie włączających się przekaźników, po czym płyta, na której leżał, zaczęła się opuszczać. Dojechała do powierzchni platformy i weszła jeszcze głębiej. Pewien swego, włączył reflektor hełmu; z zewnątrz nie będzie widać nic poza wielką, okrągłą stopą podpory silnie wspartą o betonowe podłoże. Kto mógł wiedzieć, że wciska ona w ziemię odpowiadający jej wielkością krążek betonu.

Ruch płyty ustał; Deeming zobaczył po prawej stronie niszę wykutą w betonowej ścianie. Błyskawicznie wturlał się do niej, gdyż płyta, która zwiozła go w dół, już ruszała z powrotem do góry. Bezszelestnie przesunęła się obok niego – nie zdawał sobie sprawy, że była aż tak gruba – a następnie stała się stropem podziemnej komory, która teraz się wyłoniła. Zeskoczył na dno. Miejsca było tu niewiele – tyle tylko, dla niego i maleńkiej łodzi ratunkowej, która przyzywała go złotymi refleksami na wypolerowanej, przyprószonej pyłem powierzchni.

Łódź miała kształt kuli, na pierwszy rzut oka zbyt małej, by mogła się na cokolwiek przydać. Pojedynczy fotel zaprojektowany był dla ty znacznie niższej od niego – i znacznie chudszej, jak sobie uświadomił, gdy gniewnie mrużąc wciskał się weń. Pulpit sterowniczy okazał się nieskomplikowany. Materiał, z którego wykonano kadłub, był od wewnątrz całkowicie przezroczysty. Cała siłownia statku musiała znajdować się pod fotelem.

Kciukiem nacisnął guziczki w pasie skafandra i czekał. Po chwili usłyszał Syk powietrza, którym jego skafander wypełniał maleńką kabinę; zaraz potem czujniki, które przeprowadziły analizę atmosfery i sprawdziły hermetyczność pojazdu, zabłyśły wesoło światłkami. Z westchnieniem ulgi zrzucił hełm i odpiął rękawice. W torbie u pasa znalazł żeton dla Ybo – krążek osmu z nieregularnymi krawędziami, jak szczególnie skomplikowany krzywik. Wrzucił go do szczeliny autopilota i pewnym ruchem, nacisnął czerwony guzik.

Nie było żadnego dźwięku. Wydało mu się, jakby łódź nieco osiadła, a potem mignęła mu z zewnątrz owa nieopisana, niepokojąca szarość. Deeming nie przejmował się odgłosem wywołanym próżnią, która nagle powstała w dziurze pod nogą statku. Nikt go nie usłyszy wśród łoskotów i zgrzytów portu, a może być i tak, że powietrze przesączy się powoli do otworu i obejdzie się bez żadnego dźwięku.

Rozejrzał się dookoła z przyjemnością. Ludzie Rockharda naprawdę wykonali dobrą robotę. Chociaż migowiec mógł startować prawie z każdego miejsca na powierzchni, nad nią i pod nią, pojawienie się w miejscu przeznaczenia zazwyczaj następowało wysoko w górze. Zetknięcie się z czymkolwiek znajdującym się na ziemi, począwszy od zabawki dziecięcej, a skończywszy na przypadkowym przechodniu, mogło być nieprzyjemne. Statkowi by to nie zaszkodziło; śmignąłby w nadprzestrzeń usuwając się automatycznie przy najsłabszym sygnale wskazującym

na istnienie w tym miejscu innej materii, ale ów przedmiot znajdujący się na powierzchni planety, znacznie mniej elastyczny, nie miałby już tyle szczęścia. Jednym z rozwiązań była płyta lądownicza, którą tu właśnie zastosowano. Płyta naprowadzała statek na siebie, chyba że po drodze znajdowało się dość ciężkiej materii, by to było niebezpieczne; w takim razie włączał się tylko system wywoływania, zaś naprowadzanie pozostawało nieczynne i statek pojawiał się na bezpiecznej wysokości ponad powierzchnią. Urządzenie to, nie większe od talerza, przysypane warstwą ziemi było nie do wykrycia.

Migowiec usadowił się w pobliżu dna głębokiej, wąskiej doliny przecinającej pagórkowaty krajobraz. Była noc. Z niedaleka dochodził miły szmer potoku: Dookoła kołysały się i kłaniały zarośla; ktoś, kto szukałby statku, przewróciłby się o niego, zanimby go zauważył. Deeming bez wahania otworzył kopułkę i odrzucił ją do tyłu. Był już kiedyś na Ybo i wiedział, że jest to bliźniacza siostra Ziemi. Z prawdziwą przyjemnością wdychał łagodne, świeże powietrze, następnie uniósł się i rzuciwszy skafander położył go na fotelu. Wygładził zmarszczki na swojej wiernej obustronnej marynarce, sprawdził zawartość kieszeni upewniając się, że ma w nich wszystko, co potrzebne, zamknął kopułkę i zaczął wspinać się po stromym stoku wąwozu.

Po chwili znalazł się na skraju, łąki. Piękna planeta, rzekł do siebie radośnie. Rozprostował kości, przez moment zauroczony swoją fantastyczną wizją otwartego nieba. Nagle jednak ujrzał poruszające się światła, skulił się w trawie, a jego własne niebo znowu się nad nim zamknęło.

Ale był to tylko pojazd naziemny i z pewnością nikt znajdujący się w środku nie zauważył go. Patrzył, jak się powoli przybliżyła, a potem mija go nie dalej jak o trzydzieści kroków. Dobrze, droga – czyli to, co mu było potrzebne.

Starannie zapamiętał położenie i wygląd zbocza, na którym stał a następnie jego skrajem ruszył w dół ku drodze. Z zadowoleniem dostrzegł kamień milowy u zwieńczenia kamiennego mostu, po którym droga przeprowadzała się nad usłyszonym wcześniej potokiem. Nie będzie trudno odnaleźć to miejsce.

Wesoło pomaszerował drogą ku światłom miasta rysującego się niedaleko przed nim na tle pokrytych drzewami wzgórz. Nadal nie odpowiedział sobie na pytanie „dlaczego ja?”; przez chwilę naprawdę żałował, że Rockhard nie może tu z nim być i brać udziału w tej przygodzie, albo nawet przeżyć jej samemu. No... skoro życzył sobie robić prezenty w postaci nielimitowanego kredytu za wykonanie tak przyjemnego zadania jak to, to tym gorzej dla niego.

Wspiął się na szczyt pagórka i nagle otoczyło go miasto. Jego miejsce lądowania nie znajdowało się na skraju miasta, ale w ogromnym Parku Centralnym Astro City. Ale właśnie miał przed sobą przecież Astro Centrum; o pięć minut drogi!

Był to imponujący gmach, jedna z tych niskich rozłożystych budowli, które wewnątrz wydają się znacznie większe niż z zewnątrz. Do licznych drzwi prowadziły szerokie, niskie schody. Był tu chyba jeszcze wczesny wieczór: wokół jasno oświetlonego budynku wciąż

panował ożywiony ruch. Deeming wiedział, że Centrum jest otwarte całą noc, ale później tłum pilotów, urzędników portowych, studentów wydziału nawigacji, pracowników obsługujących migowce oraz dzieci szkolnych zrzędnie. Cudownie, pomyślał, Kiedy trzeba tłumów, to są. Kiedy nie, to nie.

U szczytu schodów w drzwiach pojawiła się szczupła kilkunasto letnia dziewczyna; zatrzymała się, promiennie odwzajemniając jego automatyczny uśmiech. Ku jego ogromnemu zdumieniu przyklękła na jedno kolano i schyliła głowę.

– Och nie, moje dziecko... proszę, nie – rozległ się za nim dźwięczny głos. Minał go wysoki Anioł, który uniósł dziewczynę i postawił. Z rozbawieniem dotknął jej policzka, uśmiechnął się i wszedł do środka.

Dziewczyna patrzyła za nim jarzącymi się oczyma, z ręką przyciśniętą do policzka.

– Och... – wyszeptła – jakżebym chciała... – Potem nagle zdała sobie sprawę z tego, że koło niej stoi Deeming i, zmieszana, usunęła się na bok. – Przepraszam... stoję panu na drodze.

Mimo że miał na sobie brązowy strój przeciętniaka – nie wyróżniający się garnitur i sztywny wąsik – przemówił głosem Jimmyego Błyska.

– Dokończ swoje życzenie, maleńka. Nigdy się nie spełni, jeśli je przerwiesz w połowie. – A potem uśmiechnął się tym jasnym, wesołym uśmiechem, który nigdy nie szedł w parze z małym, głupim wąsikiem i anonimową twarzą – twarzą Deeminga w roli zastępcy zastępcy. Coś się w nim zagotowało. Przeraził się nagłym pojawieniem Anioła, ale również ujęło go ukazanie się dziewczyny i całkowite uwielbienie, które jakby przez jeden szalony moment było przeznaczone dla niego. Poza tym upajała go bliskość tej ostatniej przeszkody na jego drodze poszukiwań; stąd też był wyjątkowo czujny. I tak po raz pierwszy uśmiech Jimmyego Błyska pojawił się na twarzy urzędasza kreując w ten sposób nową osobowość, której postępowania nie potrafił w pełni przewidywać. Na przykład ten szybki rzut oka w niebo. Skąd to? Ależ oczywiście, niebo: czuł, jak zatrzaśnięte nad nim niebo unosi się nieco w górę dając mu swobodę ruchów. No jasne, pomyślał, zawsze jest więcej swobody, kiedy nie wiesz, jaki będzie twój następny ruch. Szalona chwila, wszystko się dzieje w mgnieniu oka – a dziewczyna odbiera jego zdumiony uśmiech z nie tej co zwykle twarzy i oddaje go, zabarwiony te raz wszystkimi odcieniami jej samej, mówiąc:

– W połowie? Ach tak, nie dokończyłam życzenia, prawda? – Dotknęła dłonią rozognionej szyi i szybkim spojrzeniem obrzuciła budynek, w którym zniknął Anioł. – Chciałabym być chłopcem.

Zaśmiał się tak nagle i tak głośno, że wszyscy znajdujący się na schodach zatrzymali się, by pochwycić ten śmiech i oddalić się z rozjaśnionymi twarzami.

– To życzenie nie ma prawa się spełnić – powiedział ani trochę nie starając się ukryć podziwu. Dziewczyna była szczupła, wysoka i miała tę rzadko spotykaną łagodną twarz, która

nieskalana wychodzi z wszelkiego zła.

– Czy ktoś kiedyś słyszał o Anielicy? – powiedziała.

– Ach, więc na tym polega twój problem. A dlaczego chciałabyś być Aniołem?

– Żeby robić to co oni. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby Anioł robił coś takiego, czego bym sama nie chciała robić. Pomagać innym, być dobrym i mądrym, i silnym dla wszystkich, którym potrzeba kogoś silnego.

– Nie musisz być jednym z nich, żeby nauczyć się tego wszystkiego.

– Ależ tak, muszę! – powiedziała tonem, który wykluczał wszelką dyskusję. Zrozumiał i chcąc nie chcąc, ustąpił. To, że ktoś myśli tak jak Anioł, jeszcze nie daje mu siły ani możliwości stania się nim.

– No, nawet jeśli stałabyś się mężczyzną, to jeszcze nie zrobiłoby to z ciebie Anioła.

– Ale mogłabym nim zostać – rzekła wyciągając szyję, by spojrzeć w dal na plac przed budynkiem, gdzie mignął złocisty odblask szaty następnego Anioła. Jej twarz rozjaśniła się, gdy go ujrzała, nawet z takiej odległości, i cały ten uśmiech przelała na Deeminga, gdy się ponownie ku niemu zwróciła. Ten uśmiech był równie rozstrajający, jak i nadprzestrzeń.

– Czy jesteś tego pewna? Czy byli to zwykli ludzie, zanim stali się Aniołami?

– Oczywiście że tak – powiedziała z fanatycznym przekonaniem. – Nie mogliby tyle zrobić dla ludzi, gdyby wprawdzie sami nie byli ludźmi.

– No to jak stali się Aniołami? – zakpił.

– Nikt tego nie wie – przyznała. – Ale gdyby tak było, że mężczyzna może zostać Aniołem, i gdybym była mężczyzną, to już ja bym znalazła sposób.

Deeming stał opromieniony jej silną emocją i irracjonalnie przyznawał, że gdyby dziewczyna rzeczywiście była mężczyzną i chciałaby zostać Aniołem albo równie mocno pragnęła czegokolwiek innego, zapewne by to osiągnęła.

– Mnie tam odpowiada pogląd, że kiedyś byli to ludzie – powiedział.

– Może pan być tego pewien. Jak się pan nazywa?

– Co? Hm... – Osobliwe połączenie Niewidzialnego Deeminga i Jimmyego Błyska zbiło go cokolwiek z pantałyku i nie mógł odpowiedzieć. Zmieszanie pokrył kaszlem i dokończył: – Właśnie przybyłem tu z Bravado, aby zobaczyć to miejsce, o którym tyle się mówi.

Jeśli nawet dziewczyna zwróciła uwagę, że uchylił się od odpowiedzi na jej pytanie, albo zastanawiała się, gdzie też może być to Bravado, nie dała tego po sobie poznać. W tych czasach planety były pełne ludzi dość osobliwych, a niebo roiło się od nazw.

– Och, czy mogę pana oprowadzić po Centrum? Pracuję tu. Skończyłam dyżur i nie mam właściwie nic do roboty.

Żałował, że nie wie, jak jej na imię. Chłonał tę jej gorliwość, tę całkowitą bezbronność, zaufanie, szczerą chęć pomocy i poczuł ogromną, dławiącą falę uczucia całkowicie mu dotąd

obcego. Nagle zaczęło mu zależeć, rozpaczliwie zależeć na tym, co będzie z nią w przyszłości; chciał oszczędzić jej wszelkiego zła, które mogłoby ją spotkać, chciał biec przed nią i usuwać wszelkie przeszkody, o które mogłaby się potknąć, zniszczyć wszystko, co mogłoby ją zranić: chronić ją, ostrzegać... Chciał schwycić ją za ramiona i potrząsnąć nią, i krzyknąć: uważaj na mnie, strzeż się obcego, nie wierz nikomu, nie pomagaj nikomu, dbaj o siebie! Lecz uczucie to minęło i nie dotknął jej nawet ani nie wspomniał o niczym. Rzucił spojrzenie do wnętrza budynku i przypomniał sobie, że tam znajduje się coś, co jest mu potrzebne i co musi dostać, nieważne jakim kosztem. Wykorzysta i tę dziewczynę, jeśli będzie trzeba – wiedział i to. Świadomość ta dokuczała mu, ale była w nim, niestety.

– Dziękuję! – powiedział. – To bardzo miło z twojej strony.

– Ależ to nic takiego – odrzekła ze swą zwykłą ufną gorliwością. – Uwielbiam to miejsce. To ja dziękuję – odwróciła się i weszła do środka. Poszedł za nią potulnie.

Kilka godzin później miał, czego chciał. Albo przynajmniej wiedział, gdzie się to znajduje. Wśród setki działów, stu tysięcy kartotek, dziesiątków sal widokowych mieszczących trójwymiarowe mapy wszystkich zakątków zbadanej części Kosmosu, wśród sal muzealnych zawierających ekspozycje wytworów wielkich, dziwacznych, wymarłych, nowych, niebezpiecznych, całkowicie tajemniczych cywilizacji przeszłości i teraźniejszości znajdował się żeton kierunkowy dla Revelo – mały guziczek, który człowiek mógł ukryć w dłoni, a który miał go zaprowadzić do planety zamkniętej, przez którą, niczym światło przez dziurkę od klucza, musi przeniknąć całe jego jestestwo, by wyłonić się po drugiej stronie, pośród bogactwa ponad wszelkie wyobrażenie. Rzucił okiem na dziewczynę idącą ufnie obok niego i już wiedział znowu, że obojętne, ile byłaby warta, nie jest na tyle ważna, by zawrócić go z obranej drogi, nie na tyle cenna, by ją oszczędzić, gdyby stanęła mu na drodze. Wszystko to zasmuciło go niewymownie.

Ujrzał rzędy dystrybutorów żetonów kierunkowych, gdzie każdy mógł otrzymać żeton każdej planety... no, powiedzmy, prawie każdy prawie każdej planety. Wystukaj na klawiszach nazwę planety, a za parę sekund odpowiedni żeton wpadnie do szklanego pojemnika pod klawiaturą. Sprawdź przez szkło, czy nosi właściwą nazwę, a jeśli tak, naciśnij kciukiem zagłębienie po prawej stronie (odcisk kciuka posłuży do identyfikacji przy wystawianiu rachunków), a pojemnik się otworzy. Jeśli zaś źle wystukałeś nazwę i zobaczyłeś inny żeton albo jeśli się rozmyśliłeś, naciśnij guzik zwrotu i żeton powróci do magazynku.

Wystukał więc K-E-T-H i w pojemniku pojawił się pusty żeton. Jednocześnie u dołu pojawił się napis: PLANETA ZAMKNIĘTA.

– O mój Boże, tego chyba nie chciał pan zamówić?! – wykrzyknęła dziewczyna.

– Nie – odrzekł Deeming zgodnie z prawdą; ze wszystkich planet Kosmosu Keth cieszyła się najgorszą sławą. – Po prostu chciałem zobaczyć, co się stanie, jeśli wystukam coś takiego.

– Wtedy pojawia się pusty żeton – powiedziała dziewczyna opróżniając pojemnik naciśnięciem guzika zwrotu. – Żetony planet zamkniętych są zupełnie gdzie indziej. Trzyma się je osobno, w kartotece zastrzeżonej. Czy chciałby pan ją obejrzeć? Opiekuje się nią Anioł Abdasel: on jest taki miły.

Serce Deeminga zadrżało.

– Tak, chciałbym. Ale... proszę cię, nie każ mi mówić do Anioła. Przy nich czuję się taki... chyba nie spodoba ci się to, co powiem...

– Niech pan powie.

– Przy nich czuję się taki mały...

– O coś takiego nie mam zamiaru się gniewać! – Zaśmiała się. – Ja też w ich obecności czuję się mała. No, chodźmy.

Szarym szybem komunikacyjnym wlecieli na najwyższe piętro niewysokiego budynku, po czym płataniną korytarzy dotarli do drzwi z napisem „Tylko dla personelu”, które dziewczyna otworzyła przed nim zapraszając go do środka żartobliwym gestem wyrażającym dumę i szacunek. Na końcu tego korytarza znajdowała się wiodąca w dół klatka schodowa; Deeming dostrzegł w dole narożnik drzwi wyjściowych i krzewy zalane światłem słonecznym. U góry schodów były otwarte drzwi, przez które widać było złociste błyski wewnątrz pomieszczenia. A więc był tam Anioł. Deeming przysunął się bliżej ściany, by znaleźć się poza jego polem widzenia.

– Czy to tutaj? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała. – Ale niech się pan nie czuje taki skrępowany: Abdasel jest bardzo miły.– Postukała we framugę. – Abdaselu...

Dobiegający ze środka dźwięczny głos był ciepły i przychylny.

– Tandy! Wejdz, dziecko.

A więc ma na imię Tandy, pomyślał posepnie Deeming.

– Przyprowadziłam ze sobą znajomego. Czy możemy...

– Każdy znajomy...

Nim jeszcze Deeming zbliżył się do drzwi, wyjął specjalnie opracowany igielnik, który dostał od Rockharda. Oparł broń o framugę i wysunął głowę tyle tylko, żeby jednym okiem wycelować. Wystrzelił i igła cicho wbiła się w szeroką, złocistą pierś. Nie ostrzeżony Anioł nie miał nawet czasu zareagować. Pochylił głowę w zadziwieniu, jakby chciał spojrzeć na swoją pierś, a jego ręka uniosła się, by jej dotknąć. Ręka zwyczajnie zamarła. Cały Anioł zamarł.

– Abdaselu...? – wyszeptała zaskoczona dziewczyna. Weszła do pomieszczenia. – Aniele Ab... – W tym momencie zapewne wyczuła coś w napiętej postawie swego towarzysza. Obróciła się ku niemu i spojrzała na igielnik w jego rękę, a następnie na zamarłego Anioła. – Czy...czy to pan?

– Bardzo żałuję, Tandy – wychrypiał. – Bardzo, bardzo żałuję. – Oddychał ciężko, oczy go piekły. Ze złością ocierał łzy wolną ręką.

– Zranił go pan – powiedziała oszołomiona.

– Nic nie poczuł. Przejdzie mu to. Ale czy ty wiesz, że muszę zabić ciebie? – wybuchnął, zdjęty nagłym bólem.

Nie krzyknęła ani nie zemdląła, ani nawet nie wyglądała na prze rażoną. Naprawdę? – zapytała po prostu, szczerze zdziwiona.

Usunął ją więc ze swej drogi, nie wahając się już ani chwili dłużej, ze strachu, że może zwątpić w słuszność tego, co czyni. Skupił myśli *na* jednym lodowatym celu i trzymał się go grzebiąc na biurku Anioła w poszukiwaniu indeksu. Znalazł go: była to kompletna lista planet zamkniętych. W niewielkiej klawiaturze obok komputera rozpoznał pomniejszoną wersję znajdujących się na dole dystrybutorów, tyle że bez zagłębienia na kciuk, za pomocą którego identyfikuje się nabywcę żetonu.

Ujął rękę Anioła. Długie ramię było ciężkie, sztywne i dostrzegalnie zimne – nic dziwnego, biorąc pod uwagę pochłaniającą ciepło aterminę, którą nawet jeszcze teraz igła wprowadzała do krwiobiegu Anioła. Było jej dość, by zwykłego człowieka zamrozić na sztywno w ciągu kilku minut, ale Rockhard zapewnił Deeminga, że igła nie jest w stanie zabić Anioła. Nie to, żeby szczególnie zależało na tym jemu albo Roekhardowi. Dla jego potrzeb igła była wystarczająca, śmiertcionośna czy nie.

Uniósł ciężką dłoń Anioła i jednym z jego palców wystukał nazwy ośmiu planet zamkniętych, a wśród nich, oczywiście, Revelo. Wydobył żetony z podajnika i wrzucił do kieszeni. Potem podszedł do drzwi i stanął wstrzymując oddech i pilnie nasłuchując. Ani śladu kogokolwiek w korytarzu.

Zdjął marynarkę i przewrócił ją na lewą stronę, włożył korki w buty, usunął wąsik i szkła kontaktowe, po czym wyszedł na korytarz. Nie obejrzał się, bo jedynym widokiem, jaki miał przed oczyma – czyby się obejrzał, czy też nie – była postać skulona na ziemi, z uśmiechem na twarzy. Z uśmiechem, dzięki przypadkowemu skurczowi mięśni... dzięki okrutnemu przypadkowi, który miał na wieki naznaczyć piętnem jego widzenie, wewnętrzną jaźń.

Zszedł po schodach, w mrok nocy, nie spiesząc się.

Ruszył w stronę parku nie czując nic w środku, jeśli nie liczyć owej odwiecznej, chłodnej zgryzoty, zawsze towarzyszącej jego sukcesom. Jak sobie przypomniał, kiedyś uważał, że to uczucie wynika z przekonania, iż łup jest taki niewielki. Tym razem musiałby się dobrze zastanowić, by wymyślić większy.

Jego niebo uciskało go w czaszkę i w kark. Uważał na każdy krok i wiedział, jaki będzie krok następny.

Było bardzo ciemno.

Znalazł właściwą drogę i kamień milowy pod mostem. Ludzie, których mijał, nie zwracali na niego uwagi. Kiedy był zupełnie pewien, że nikt go nie obserwuje, wśliznął się w gąszcz i przedostał na łąkę. Znalazł opadający grzbiet, który wiódł w dół od krawędzi parowu, i zszedł nim wyczuwając drogę głównie mięśniami nóg i słuchem. Dobył igielnika, bo lepiej było mieć go w ręku i nie potrzebować, aniżeli potrzebować i nie mieć; poruszał się cicho, bowiem istniało coś takiego, jak statystyczne nieprawdopodobieństwo, a kiedy już dotarł do miejsca bezpośrednio nad kryjówką łodzi, położył się na brzegu i leżał nieruchomo, nasłuchując.

Słyszał tylko plusk wody.

Wyciągnął latarkę paluszek i trzymał ją w tej samej ręce co igielnik, ściskając oba przedmioty razem, równolegle, tak by wszystko, co oświetli promień latarki, było jednocześnie dokładnie na linii strzału. Następnie pełznąć na brzuchu i podpierając się na łokciach dotarł do krawędzi i spojrział w dół.

Ciemno jak w grobie. Nic nie widać.

Wycelował igielnik i latarkę jak umiał najdokładniej w miejsce, gdzie powinien znajdować się jego statek; położył palec na spuście, a drugą ręką odnalazł guzik latarki i nacisnął.

Wąski strumień światła trysnął w dół. Dobrze wycelował. W kręgu jasności znalazł się zarówno statek i kawałek ziemi, na której stał, jak i postać Anioła siedzącego cierpliwie na szczycie pojazdu.

Anioł podniósł wzrok i uśmiechnął się.

– Witaj, przyjacielu.

– Witaj – odrzekł Deeming i wystrzelił. Anioł siedział dalej na miejscu, z uśmiechem na ustach i oczyma zmrużonymi od blasku. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, aż w końcu, wciąż z uniesioną głową i twarzą rozjaśnioną uśmiechem, Anioł zsunął się sztywno z wierzchołka łodzi i opadł w tył, w skaliste koryto strumienia.

Deeming zgasił latarkę i powoli, mozolnie, zszedł w dół. Po omacku dotarł do pojazdu, otworzył kopolkę dotykając zamka zaprogramowanego na odcisk jego dłoni i wszedł do środka. Potem zaklął i wygramolił się na zewnątrz. Odnalazł skraj strumienia i macał wzdłuż niego, aż ręce jego natrafiły na miękką, mocną tkaninę złocistej szaty. Raz jeden przelotnie błysnął światłem latarki i przestudiował widok, którego obraz zanikał już w jego siatkówkach. Anioł leżał na plecach, skręcony w pasie, tak że jego nogi pozostały zgięte, jak wtedy, kiedy Deeming do niego strzelił. Głowę miał odchyloną do tyłu, lecz Deeming jej nie widział; była pod wodą.

Podciągnął ciężkie ciało, uniósł je i przesunął, aż znalazło się w takiej pozycji, w jakiej chciał, żeby było. Człowiek takiego wzrostu jak ten Anioł to ciężar nie byle jaki a Anioł był jeszcze cięższy o jedną trzecią. {Kim oni właściwie są?}

Następnie wrócił do łodzi i zamknął kopolkę. Wyciągnął skradzione żetony i ułożył je starannie obok tych, które już przedtem były na statku. Przez chwilę siedział zamyślony.

Witaj, przyjacielu..

Na imię miała Tandy.

(Błagalny wzrok starca)”.

„Yinyang to kupa forsy”

Poruszył się, rozdrażniony i przycisnął kciuk do oczu, aż zobaczył błyski. Nie o takie myśli mu chodziło.

Przeciagnał dłonią po stojaku do żetonów, a potem z tyłu wsunął palce, by dotknąć nowej cewki, którą tam włączył. Te maleńkie przedmioty stanowiły potencjał, którego zapewne nie posiadał żaden człowiek od początku dziejów. Miał wolny i sekretny dostęp do ośmiu planet zamkniętych, gdzie z pewnością znajdowały się rzeczy, które gdzieś, kiedyś niesamowicie mu się opłacą – nawet zupełnie nie biorąc pod uwagę yinyangu. Miał prawo zakładać, że nikt nie wytropił jego drogi z Ybo... nie, nie miał prawa. Powiedzmy raczej, że o ile wie, nikt go nie wytropił; o ile wie, nikt go nie śledził. Te wszystkie historie, które opowiadano o Aniołach – że potrafią czytać w myślach, nawet tych, co niedawno pożegnali się z życiem... a zresztą, z całą ich siłą i pewnością, z całą ich pozycją społeczną, czy rzeczywiście uważają, że obecność jednego Anioła do pilnowania żetonów planet zamkniętych wystarczy, by zapobiec potencjalnej katastrofie, jaką przedstawiały sobą te maleńkie krążki? Gdyby to on, Deeming, urządzał tamten gabinet, to Aniołowie, czy nie Aniołowie, zainstalowałyby tam kamery, urządzenia alarmowe i przeróżne zabezpieczenia w rodzaju ustalonego rytmu wystukiwania nazw przy pobieraniu żetonów, którego nie mógłby znać nikt z zewnątrz.

Im bardziej zagłębiał się w ten tok myślenia, tym mniej był przekonany, że zatarł za sobą ślady. Im więcej o tym myślał, tym był pewniejszy, że nawet jeśli nie siądą mu od razu na ogon, to zastawią sieci w tyłu miejscach, ilu nawet jego wzrastający strach się nie spodziewa.

A co on by zrobił, gdyby chciał schwytać kogoś takiego, jak on sam?

Po pierwsze, obstawiłby wybrane planety zamknięte (zakładając, że dystrybutor notował, jakie żetony pobrano, a nie wyobrażał sobie, że mogło być inaczej)..

Następnie wzięłby pod obserwację wszystkie miejsca, które stanowiły kryjówkę przestępcy – przy coraz bardziej uzasadnionym założeniu, że wkrótce dowiedzą się, kim jest.

A kiedy się dowiedzą, wówczas obstawią Rockharda, ponieważ umowa z nim na pewno zostanie wykryta; była zbyt złożona i angażowała zbyt wiele osób, by długo pozostawać w cieniu, jak już Aniołowie złapią jego ślad.

Co oznaczało, że Ziemia jest spalona, planety zamknięte są spalone, tak samo Ybo, Bluebutter i wszystkie miejsca, w których kiedyś był. Musi znaleźć jakieś nowe miejsce, w którym nigdy nie był, gdzie nikt go nie zna, gdzie jest wiele ludzi, wśród których można się zgubić. Musi jakoś znaleźć drogę do Dona Rockharda i choć części tych bogactw, które stary mu przyrzekł.

Westchnął i poszperał w żetonach na stojaku, aż znalazł jeden z wybitą nazwą „Iolanthe”. Duża planeta, trochę zbyt obciążająca mięśnie, jak dla miłośników wygod, ale solidnie zaludniona i zupełnie mu nie znana.

Wrzucił żeton do otworu i mignął ku swemu przeznaczeniu.

Iolanthe była rzeczywiście na poziomie. Wyszedł z nadprzestrzeni na wysokości około mili i szybko się rozejrzał, zanim mignął na stronę nocną. Mając statek o tak niepowtarzalnym wyglądzie nie odważył się posadzić go tam, gdzie by wywołał komentarze. Pozostał więc w górze i rozpoczął przegląd usług telekomunikacyjnych, jakie planeta miała do zaoferowania.

Było ich wiele. Jednocześnie z sygnałem wywoławczym nieprzerwanie nadawano trójwymiarową mapę powierzchni planety, a także fantastyczną siatkę radiolokacyjną, według której łatwo było zorientować się w położeniu. Na jednym paśmie nadawano programy rozrywkowe, na innym zaś – co było najlepsze – wiadomości. Było to pasmo szerokie, składające się z sekwencji video, wzbogaconych o komentarz foniczny. Mógł wybrać sobie dowolne miejsce w całym zestawie. Był on opatrzony indeksem i znakomicie zredagowany, tak że obejmował wiadomości zarówno najwyższej wagi, jak i drugorzędne; wydarzenia miejscowe, jak i międzygwiazdne.

Zaczął od informacji najnowszych, po czym cofał się w przeszłość. Nie było nic, dosłownie nic, co mogłoby odnosić się do niego – nawet wzmianki z miejsc, w których przebywał. Aż nagle znalazł się twarzą w twarz z Richardem E. Rockhardem.

Włączył fonię.

„...postawiony wczoraj w stan oskarżenia przez ławę przysięgłych Sądu Najwyższego Ziemi – obwieścił przyjemnym głosem spiker – pod stu jedenastoma zarzutami: stawiania ograniczeń handlowych, nielegalnego kumulowania władzy, forsowania wysokich cen, praktyk monopolistycznych, manipulacji rynkowych”... – i tak dalej, i tak dalej. Wyraźnie stary złodziej przeciągnął strunę. – ...”wartość majątku trwałego i ruchomego Rockharda ocenia się na ponad dwa i trzy czwarte miliarda, ale w świetle tych zarzutów oczywiste jest, że zaległe rachunki, należności bieżące, podatki i kary wedle wszelkiego prawdopodobieństwa sięgną kwoty wyższej niż wartość majątku. Mienie to znajduje się naturalnie w rękach władz do czasu przeprowadzenia szczegółowych obliczeń”.

Deeming powoli wyciągnął drżącą dłoń i wyłączył odbiornik. Zafascynowany patrzył, jak czerstwa, chłodnooka twarz starca znika pod jego ręką, nagle zniekształcona. Czy było to jakieś złudzenie, czy też zanikające elektrony wykrzywiły gasnący obraz – w każdym razie na ułamek sekundy twarz Rockharda przybrała ów wyraz milczącego błagania, który go wtedy tak poruszył.

– Głupia, pokraczna, stara świnią – warknął, zbyt wstrząśnięty, by wymyślić jakąś naprawdę dosadną obelgę.

Nie ma forsy. Nie było już nic, poza tym, co zagarnęły władze. A jakże, już widział siebie,

jak się zwraca do władz z podobną pretensją.

Pogrzebał w pieniądzech, które starszy pan dał mu na specjalne wydatki. Nie korzystał z nich jeszcze, ale nagle przestało mu się wydawać, że jest tego dużo. Wcisnął je z powrotem do kieszeni i dopiero wtedy naprawdę zadygotał.

Muszę coś zrobić. Muszę tam wylądować i zniknąć..

Włączył penetroskop i nastawił go na video. Urządzenie przekazywało nocne widoki znacznie lepiej niż tamte obrazy przesyłane przez stal berylową. Skierował obiektyw w dół i otrzymał wszy ostry obraz powierzchni planety zaczął szukać kryjówki dla łodzi. Dobry byłby jakiś teren pagórkowaty lub skalisty, gęsta pokrywa roślinna, dostęp do drogi lub rzeki, może...

Po ekranie przemknęło coś złocistego.

Deeming zdławił okrzyk i uderzył w regulator. W miarę jak teoretyczny punkt widzenia zwiększał wysokość, kąt widzenia kamery poszerzał się, a szczegóły znikwały. Złapał je, zgubił, ponownie złapał i teraz już trzymał – obraz trzech Aniołów z samodzielnymi geograwitatorami lecących kluczem tuż nad ziemią. Szybko pokrywali teren jak najwydajniejszym lotem szperającym, szukając... szukając czegoś ukrytego w dole, na tyle małego, że uzasadniało tak szczegółową obserwację, na tyle nieruchomego, że można było polegać na wzroku. Czegoś, powiedzmy, wielkości jego łodzi.

Powodowany nagłym impulsem, włączył detektory statku. Obraz zafalował i znieruchomiał, znowu zafalował, w miarę jak detektory wypatrywały i wybierały, by następnie dać mu krótki przegląd wszystkiego, co wykryły, w kolejności od najkrótszego czasu, który upłynie do chwili kontaktu z jego statkiem.

Dwa małe, złociste statki zbliżyły się z północy i północnego wschodu.

Następny nadlatywał ze wschodu, a jeszcze jeden trzymał się tuż nad nim, manewrując wyraźnie w ten sposób, by stanowić dla niego osłonę.

Na południu wielki... nie, to nic, to po prostu frachtowiec zajęty swoimi sprawami. Ale nie – wyrzuca łodzie. Przybliżył obraz. Łodzie bojowe pędzące w jego kierunku.

Na południowym wschodzie... A, do diabła z południowym wschodem! Ze stojąka wygrzebał żeton Revelo i walnął nim w szczelinę receptora. Żeton wyśliznął mu się z palców i spadł na pokład. Deeming rzucił się na niego i zgarnął łapczywie.

Z prawej strony łodzi wykwitł nagle jaskrawy różowy obłok; drugi taki sam pojawił się zaraz za nim. Oznaczało to: „zatrzymaj się w celu przesłuchania, bo inaczej...”

Cały kadłub łodzi zabrzączał; indukowane wibracje przybrały postać słów: „Zatrzymaj się w imieniu Aniołów! Przygotuj się do holowania”.

– Tak, pewnie – powiedział Deeming i tym razem trafił żetonem w szczelinę. Uderzył w guzik i obraz, który widział jednocześnie na ekranie i przez okienka, znikł.

Wyłączył wszystko, co mu nie było potrzebne, i odchylił się w tył, spocony jak mysz;

Nie miał zamiaru nawet przez moment rozważać tej odległej mało prawdopodobnej możliwości, że wzięli go za kogoś innego. Znakomicie wiedzieli, z kim mają do czynienia. Ile w końcu trzeba było im czasu, by wziąć go na muszkę na planecie, o której nie mogli mieć najmniejszego pojęcia, że jest jego celem? Pół godziny?

Złapał się na tym, że wygląda przez iluminator i ze zdumieniem uświadamia sobie, iż nadal znajduje się w nadprzestrzeni. Nigdy jeszcze tak długo to nie trwało; gdzież u diabła jest to Revelo?

Znowu zaczął się pocić. Może generator pola jest uszkodzony? Nie, światełka na pulpicie sterowniczym twierdziły, że wszystko jest w porządku.

I wciąż ta monotonna, przerażająca szarość. Zasłonił okienka i zadrzał w fotelu, kuląc się.

Po co w ogóle wybrał Reyelo?

Tylko dzięki nie potwierdzonemu przypuszczeniu, że jeden człowiek utrzymał się tam przy życiu. Inne planety zamknięte oznaczały śmierć w takiej czy innej formie, nie wiedział nawet w jakiej. Przypuszczalnie i Revelo była równie śmiertelna, choć właściwie Don Rockhard nie ryzykowałby, gdyby to było pewne.

A jeszcze może – ale to bardzo mało prawdopodobne – nowa cewka migopola będzie działała tak dobrze w polu śmierci Revelo, że uda mu się prześliznąć niepostrzeżenie. Może na chwilę, na bardzo krótką chwilę, znajdzie schronienie, w którym będzie mógł się zastanowić.

Z zewnątrz doszedł go świat rozdzieranego powietrza. Spojrzał w iluminator, ale nic nie zobaczył. Włączył detektor i wtedy przypomniał sobie, że okienka są zasłonięte. Otworzył je i wpuścił do środka światło planety Revelo.

Nigdy jeszcze nie widział podobnego nieba. Przeplýwały nad nim masy barw – błękitny, błękitniejące zielenie, róże. Ledwie widoczny zenit skrzył się salwami rozbłysków. Ze wschodu wyłaniał się olbrzymi, delikatny, purpurowy płomień zanikający prawie nad głową. Płomień pulsował hipnotycznie.

Deeming zadygotał. Ustawił detektor na poszukiwanie łodzi Dona Rockharda i włączył autopilota. Uruchomił zewnętrzny analizator atmosfery i czekał.

Ponieważ poszukiwana łódź była tak niewielka, a planeta olbrzymia, musiał poważnie zwiększyć czułość detektora kosztem selektywności. Aparat znajdował mu różne rzeczy: potężne, połyskujące kawały metalicznej miedzi i molibdenu sterczące z potrzaskanych szczytów, długie, migocące pasmo okrągłych jeziorok płynnego ołowiu, a nawet nadajnik sygnału ostrzegawczego Aniołów i generator pola śmierci. Wyraźnie nikt nie obsługiwał tych urządzeń, co było zrozumiałe: miały one własne zasilanie, były niezawodne, a umieszczono je w skrzyni, której nie ruszyłaby nawet eksplozja termojądrowa.

Po jakimś czasie zachciało mu się spać, więc ustawił brzęczyk detektora na największą moc i odchylił się w fotelu. Zdawało mu się, że ile razy zasnął, tyle razy śnił, a w każdym razie sen,

obojętnie jak się zaczynał, kończył się spotkaniem twarzą w twarz z uśmiechniętym Aniołem, nie uzbrojonym, miłym, który po prostu na niego czekał. Za każdym razem, gdy odzywał się brzęczyk, Deeming podskakiwał w fotelu i wyglądał przez okienko szukając tego, co wykrył detektor. Potrzeba kontaktu z kimś drugim, z jego myślami, a nie tylko z własną obsesyjną ideą ucieczki i martwymi uśmiechami dobrych, ale nieustępliwych Aniołów, stała się pilna, histeryczna. Ale kiedy odzywał się brzęczyk, zapowiadał bogate złoża rudy albo osobliwą elektryczną mgłę między dwiema skałami z żelaza, albo nic, albo, w końcu, łódź Donalda Rockharda.

Kiedy ją znalazł, znajdował się już w stanie żałosnego odrętwienia, który stanowi przeciwieństwo hysterii, wpadł w monotonną rutynę snu-marzenia i jawy-observacji: brzęczyk, błyskawiczne spojrzenie na ekran, rozczarowanie, naciśnięcie guzika kasującego i tak dalej. W rzeczywistości, nim sobie z tego zdał sprawę, już dwa razy Skasował namiar na łódź Dona, ale jego statek zaczął ją okrążyć i silne echo uniemożliwiło uciszenie brzęczyka. Wyłączył go w końcu na dobre i wisiał nad leżącą w dole maleńką brunatną kulką wpatrując się w nią tępo i powoli wracając do rzeczywistości.

Wylądował. Najbardziej wariackie na tej zwariowanej planecie wydało mu się to, że na samym dole atmosfera była taka, jak na Ziemi, choć może zbyt nagrzana, jak dla kogoś, kto lubi wygodę. Otworzył kopułkę i na zeszywniałych nogach wylazł na zewnątrz.

Ani śladu Donalda Rockharda.

Podszedł do drugiej łodzi i zajrzał przez okienko. Kopułka była zamknięta, ale nie zablokowana. Otworzył ją i zajrzał do wnętrza statku. Na stojaku leżały tylko trzy żetony kierunkowe: Ziemia, Łabędź II oraz Cabrini w układzie Bety Centauri. Pogrzebał za stojakiem; trafił palcami na płaski pakiecik. Otworzył go.

W środku znajdował się majątek – prawdziwy majątek w banknotach o dużych nominałach. A także karta. I żeton.

Karta, wykonana z niezniszczalnego hellenitu, opatrzona była słynnym godłem chirurgów z planety Grebd. Wypełniona ręcznym pismem, które w jakiś sposób przeniknęło na wylot przez ów nieprzenikalny plastik, głosiła: Klasa A. Zapłacono. Przyjąć okaziciela bez pytań. U dołu znajdował się wąż podpisu oraz pieczęć z tym samym dobrze znanym godłem Grebdeńskiego Towarzystwa Chirurgicznego.

Żeton opiewał, oczywiście, na planetę Grebd.

Deeming przycisnął ten skarb do siebie; pochylony tulił go, a potem śmiał się do łez – które i tak prawie natychmiast się pojawiły.

Na Grebd, po nową twarz, nowy umysł, a jeśli chciał – ogon, skrzydła, kogo to obchodzi? Jediną granicę stanowiło niebo.

(Niebo – twoje niebo – zawsze było ci granicą.)

I potem, z nową twarzą i resztą, z tą harmonią forsy – w dowolne miejsce w Kosmosie, które uznaję za dobre dla siebie.

– Hej! Kim pan jest? Co pan wyprawia? Niech się pan wynosi z mojej łodzi! Proszę to zostawić!

Deeming nie obrócił się. Podniósł ręce do góry i zatkał uszy, jak małe dziecko w ptaszarni w zoo.

– Powiedziałem, proszę wyjść! – Deeming uniósł skarb w drżących dłoniach gniotąc i rozsypując pieniądze. – Wychodź! – warknął głos, toteż wyszedł, nie próbując niczego podnosić. Obrócił się pełnym znużenia ruchem trzymając ręce uniesione nieco poniżej barków, jak gdyby dużo, dużo za ciężkie dla niego.

Stał przed młodym mężczyzną o zapadniętych policzkach i twarzy poranej zmarszczkami oraz szeroko rozstawionych, lodowatych oczach Richarda Rockharda. U stóp przybysza leżał worek, który upuścił widząc kogoś we wnętrzu swojej łodzi. W jego ręku pewnie, niczym stalowy drąg, spoczywał rozwalacz soniczny wycelowany w środkową część tułowia Deeminga.

– Donald Rockhard – powiedział Deeming.

– No i co? – odrzekł Rockhard. Deeming opuścił ręce.

– Przybyłem – zaskrzeczał – żeby ci pomalować brzuch na niebiesko.

Rockhard stał przez dłuższą chwilę zupełnie bez ruchu; potem, jakby za pociągnięciem sznurka, jego ręka z bronią opadła, a na twarzy rozlał się szeroki uśmiech.

– A niech mnie wszyscy diabli – powiedział. – Ojciec pana przysłał!

– Kochany – wykrztusił Deeming – jakże się cieszę, że najpierw zadajesz pytania, a potem strzelasz.

– Och, nie strzeliłbym do pana, obojętne, kim by się pan okazał. Tak się cieszę, że widzę ludzką twarz, że... A kim pan w ogóle jest?

Deeming powiedział mu, jak się nazywa.

– Twój ojciec dowiedział się, że jeśli taka łódź jak twoja przedziera się przez pole śmierci, to je wywraca na drugą stronę. Albo coś w tym guście. W każdym razie, gdybyś chciał się stąd wynieść, to nigdzie byś już w życiu nie doleciał.

Donald Rockhard spojrzał na szalone niebo i zbladł.

– Niemożliwe – szepnął. Zwilżył wargi i zaśmiał się nerwowo. Nie był to wesoły śmiech.

– No dobrze, ale skoro pan się tu znalazł, żeby mi to powiedzieć, to jak pan się stąd wydostanie?

– Nie patrz na mnie jak na bohatera szaleńca – odrzekł Deeming z odcieniem uśmiechu. – Trzeba tylko wymienić cewkę generatora pola! Właśnie to robiłem w twojej łodzi, kiedy nadziałem się na tę całą forszę. Wiem, że nie powinienem się do niej dotykać, ale jak często ma się w ręku cztery miliony w gotówce?

– Trudno mieć pretensję – przyznał Rockhard. – Sądzę, że widział pan, co tam jest jeszcze.

– Widziałem.

– Teoria głosi, że jeśli ktoś udaje się na Grebd, nie może o tym wiedzieć nikt z żyjących.

Deeming rzucił okiem na rozwalacz w ręku młodego człowieka. Wprawdzie ręka zwisała swobodnie, ale jednak nie odłożył broni.

– To już twoja sprawa – rzekł. – Twój ojciec jednak powierzył mi tę informację; powinieneś to wiedzieć.

– No dobrze – powiedział Rockhard. Odłożył rozwalacz. – Jak mu się powodzi?

– Twemu ojcu? Nie za dobrze. Moim zdaniem jesteś mu teraz potrzebny.

– Potrzebny? Gdybym się pojawił w tym samym systemie słonecznym i Aniołowie by to wywąchali, drogo by go to kosztowało.

– Wcale nie – odrzekł Deeming. Opisał Donowi, co się stało z po tężnym gmachem interesów starszego pana. – Zresztą te marne cztery miliony i tak by mu nie pomogły.

Richard przygryzł wargi.

– A ile bym dostał za kartę? Deeming przymknął oczy.

– To już byłoby coś – skinął głową.

– Muszę się stąd wydostać – rzekł młody Rockhard. – Skończył pan już z tą cewką?

– Na razie tylko wyjąłem starą.

– To proszę skończyć, dobrze? Ja sobie tylko wybiorę dwie, trzy z tych rzeczy. – Wysypał zawartość worka na ziemię i przykucnął nad nią.

– Tego szukasz? – zapytał Deeming idąc do własnej łodzi po cewkę.

Rockhard prychnął.

– Kto wie? Mogą to być skorupy albo skamieniałe kałuże. Wezmę sobie tylko najlepsze do analizy. Uważa pan, że archeolodzy są pomyleni, Deeming?

– Jasne – odrzekł Deeming z wnętrza łodzi Rockharda. – Ale ja uważam, że w ogóle wszyscy są pomyleni. – Położył się brzuchem na fotelu i zaczął zbierać pieniądze. Wydostał wszystkie, podobnie jak i kartę; starannie je ułożył i wsunął w opakowanie. Rockhard popatrzył na niego.

– Weźmie pan sobie coś z tego?

Deeming potrząsnął głową. Włożył paczuszkę z powrotem za stojak żetonów.

– Ja już swoje dostałem. – Wyszedł z łodzi.

Rockhard wszedł do środka i przez ramię spojrzał na Deeminga.

– Niech pan sobie trochę weźmie. Nawet dużo.

– Nie będą mi potrzebne.

– Zabawny z pana facet, Deeming.

– Może.

– Zobaczymy się jeszcze?

– Nie. Kiedy Rockhard nie znalazł odpowiedzi na tę ostatnią, pojedynczą sylabę,” Deeming odezwał się:

– Zamknę twoją kopułkę. – Pod osłoną ręki sięgającej do kopułki wydobyl igielnik i ukrył go w rękawie; wylot wyglądał mu spomiędzy palców zaciśniętej dłoni. Mały palec leżał wygodnie na spuście. Oparł się na pięści spoczywającej na osłonie tuż za uchem Rockharda.

– Żegnaj, Rockhard – powiedział. Rockhard nie odrzekł nic.

Deeming stał przez dłuższy czas, spoglądając w tępych zdumieniu na igielnik. Czemu nie wystrzeliłem? Potem, kiedy już statek Rockharda mignął i zniknął; opuścił ramiona i powłókł się przez gorący piasek do własnej łodzi.

Boże, jak on był zmęczony.

– Dlaczego nie strzelałeś?

Deeming stanął jak wryty, nie kończąc nawet kroku – z jedną stopą wysuniętą do przodu, drugą do tyłu. Powol podniósł głowę i spojrział w oczy złocistemu gigantowi, który z uśmiechem na ustach stał oparty, o jego łódź.

Nabrał głęboko powietrza w płuca, wstrzymał je i wypuścił w bolesnym wydechu.

– Mój Boże – powiedział chrapliwym, matowym głosem – nawet nie mogę powiedzieć, że bym był specjalnie zdziwiony.

– Spokojnie – odrzekł Anioł. – Teraz już wszystko będzie dobrze.

– A tak – powiedział gorzko Deeming. Wyskrobią mu teraz mózg, a do głowy naleją chłodnego, przepysznego jogurtu; resztę życia spędzi szorując podłogi w sztabie głównym Aniołów, bo pewnie był gdzieś taki. – Masz – dodał. – Nie powiem, zapracowałeś na to ucziwie – i rzucił igielnik w stronę Anioła, który lekko skinął dłonią. Broń przestała istnieć w połowie lotu. – Sporo macie takich sztuczek – powiedział Deeming.

– Jasne – zgodził się Anioł. – Dlaczego nie zastrzeliłeś młodego Rockharda?,

– Wiesz co – odparł Deeming – sam się temu dziwię. Chciałem. Naprawdę chciałem. – Podniósł pusty, oszołomiony wzrok na Anioła. – Co się ze mną dzieje? Miałem wszystko w rękach i wypuściłem.

– Powiedz mi jeszcze coś – rzekł Anioł. – Kiedy strzeliłeś do tamtego Anioła na Ybo i wpadł głową do wody, dlaczego zadałeś sobie trud, by go wyciągnąć i ułożyć na brzegu?

– Nie zrobiłem tego.

– Widziałem cię. Byłem tam i widziałem.

– Gówno prawda – odrzekł Deeming, spojrział Aniołowi w oczy i wyczytał w nich, że Anioł jednak mówi poważnie. – No więc... nie wiem. Po prostu, zrobiłem to, i tyle.

– Powiedz mi teraz, czemu tylko ogłuszyłeś pięścią tamtą dziewczynę, zamiast ją zabić tym samym zacierając ślady?

– Na imię jej było Tandy – powiedział Deeming z namysłem. – Tylko tyle pamiętam..

– Cofnijmy się jeszcze bardziej -. mówi Anioł niewymuszonym tonem. – Kiedy tamtego wieczoru wyszedłem od Rockharda, by pozafatwiać swoje sprawy, zapakowałeś zegarek i wysłałeś go pocztą. Do kogo?

– Nie pamiętam.

– Ja pamiętam. Wysłałeś go do tej kobiety, której go ukradłeś. Dlaczego, Deeming?

– Dlaczego, dlaczego, dlaczego! Zawsze tak robiłem, oto dlaczego!

– Nie zawsze. Tylko wtedy, gdy taki zegarek był jedyną pamiątką, jaką kobieta miała po swoim zmarłym mężu, albo gdy chodziło o coś podobnej wartości. Wiesz, kto ty jesteś, Deeming? Jesteś mięczak.

– Słuchaj no – odrzekł Deeming – złapałeś mnie i dostanę teraz za swoje. Dajmy już temu spokój i darujmy sobie kazanie, dobrze? Chodźmy. Jestem zmęczony.

Anioł wysunął przed siebie obie dłonie z lekko rozpostartymi palcami. Deeminga zaświerzbila skóra. Wyraźnie usłyszał dwa ostre trzaski w krzyżu, który wyciągnął się i osiadł na nowo. Podniósł gwałtownie wzrok.

– Czy nadal jesteś zmęczony? – uśmiechnął się Anioł. Deeming dotknął swoich ramion, powiek.

– Nie... – szepnął. – Jak Boga kocham, nie jestem. – Przechylił głowę i dorzucił z ociąganiem: – To pierwsza wasza sztuczka, która mi się podoba, malutki. – Raz jeszcze spojrzął na dobrodusznego olbrzyma w złocistej szacie. – Kim wy w ogóle jesteście, co? No, dobrze – dodał od razu. – Wiem, wiem. Na to pytanie nigdy nie odpowiadacie. Nie było rozmowy.

– Ty możesz o to pytać – powiedział Anioł nie zwracając uwagi na otwarte ze zdumienia usta Deeminga. – Kiedyś byliśmy zwykłą służbą porządkową. Czymś w rodzaju małej prywatnej armii, o ile zrozumiesz, to słowo. Historia ludzkości obfitowała w najemników. Ongiś byli, na przykład, detektywi Pinkertona. Ty może nie pamiętasz, to było jeszcze przed twoim urodzeniem. Naszą grupą kierował niejaki Anioł, człowiek o takim nazwisku – i stąd nazwa. Tak więc nazwa pojawiła się wcześniej niż te szatki oraz nasza działalność na modłę szkółki nie dzielnej, jaką obecnie uprawiamy.

Z czasem coraz staranniej dobieraliśmy personel, przez co podnosił się jego poziom moralny. Jednocześnie mieliśmy coraz mniej kierowników, aż w końcu całkowicie przestali być potrzebni. Byliśmy tylko my oraz nasz pogląd, że możemy zapobiec wielu kłopotom, jeżeli sprawimy, że ludzie będą dla siebie nawzajem dobrzy.

– Czasem okazujecie tę dobroć w nader oryginalny sposób!

– Bywało kiedyś, że człowiek zabijał konia, który złamał nogę. To też był objaw dobroci – odrzekł Anioł.

– Po co więc mi to wszystko mówisz?

– Agituję.

– Co takiego?

– Agituję – powtórzył Anioł wyraźnie. – Przyjmuję nowych kandydatów. Werbuję nowych Aniołów. Ciebie też wezmę, jeśli zechcesz.

– No nie, jedną małą chwileczkę – zaprotestował Deeming. – Chyba nie będziesz mi wmawiał, że zrobisz ze mnie Anioła. Nie ze mną ta kie numery.

– Dlaczego nie?

– To nie ja – upierał się Deeming. – Ja się do tego nie nadaję.

– Nie nadajesz się? A cóż to za człowiek, który nie potrafi żyć jednym życiem, tylko musi jednocześnie zgrywać przeniecowanego swoistego Robin Hooda? Czy zdajesz sobie sprawę, że nigdy nie okradłeś nikogo, kto by ostatecznie na tym nie skorzystał, czegoś się w ten sposób nie nauczył?

– Naprawdę tak było?.

– Mogę ci pokazać historię wszystkich wypadków – co do jednego. – Aż tak długo mnie śledzisz?

– Od kiedy byłeś w trzeciej klasie.

– Daj spokój – powiedział Deeming. – Musiałbyś być niewidzialny.

Anioł zniknął. Mrugając oczyma Deeming powoli podszedł do łodzi i przesunął dłonią po kadłubie.

– To nic nadzwyczajnego, kiedy się już wie, jak to robić. Czy istnieje jakiś powód, dla którego generator migopola nie może być zminiaturyzowany do rozmiarów pięści? – odezwał się z powietrza głos Anioła. Deeming obrócił się gwałtownie, lecz nic nie zobaczył. Oczy mu się rozszerzyły; stanął przy łodzi opierając się o nią plecami. – Tutaj – rzekł wesoło Anioł i pojawił się z prawej strony. Odsunął w tył poły złocistej szaty i wykręcił pas na drugą stronę. Deeming w przelocie dostrzegł jakieś małe, płaskie plastikowe pudełeczko o zaokrąglonych ściankach.

– Musisz zrozumieć – powiedział Anioł – że istoty ludzkie w przeważającej mierze są z natury przesądne i pełne uwielbienia. Jeśli ich teologię zastąpić nauką, zaczną po prostu czcić naukę. Dajemy im tylko to, czego im trzeba. Nigdy nie staraliśmy się udawać kogoś szczególnego, ale również nie zaprzeczamy temu, co o nas myślą. Jeśli uważają nas za żądnych władzy handlarzy niewolników, dajemy dowody, że się mylą. Jeśli myślą, że jesteśmy półbogami, albo coś w tym sensie, nie zabiera my głosu.

I to przynosi efekty. Wojny nie było już tak dawno, że połowa ludzkości nie wie, co to słowo oznacza. A pojawiliśmy się wtedy, gdy nas najbardziej potrzebowano, wierz mi. Gdy człowiek rozszerzał swoje rubieże pośród cywilizacji pozaziemskich i wbrew nim, i poprzez nie. Trzeba było szerzyć naukę, bo inaczej, do cholery:..

– A jak brzmi ta wasza nauka? O co Wam właściwie chodzi?

– Już ci to mówiłem, ale brzmi ona tak diabelnie prosto, że nikt nie chce w nią uwierzyć, dopóki nie zobaczy jej w działaniu – a i wtedy znajdują inne słowa, by ją wyrazić. Z tobą spróbuję jeszcze raz – zachichotał Anioł. – Nauka ta brzmi: bądźcie dla siebie na wzajem dobrzy. I to jest klucz do nieba.

– Muszę się nad tym zastanowić – rzekł Deeming, przytłoczony tym wszystkim. Otrząsnął się jednak. – Zastanowię się nad tym później... Słyszałem o was różne rzeczy. Słyszałem, że wy nie jecie...

– To prawda.

– I nie śpicie.

– Tak jest. Tak samo się nie rozmnażamy – nie udało nam się jeszcze tak zaadaptować transformacji, by można było stosować ją u kobiet. Ale kiedyś nam się to uda... Nie stanowimy odrębnego gatunku, rasy; nie jesteśmy supermenami – nic takiego. Jesteśmy potomstwem, które stanowi produkt sadyzmu techniki, rośliny yinyang.

– Yinyang!

– To nasza mroczna i śmiertelna tajemnica – odrzekł Anioł ze śmiechem. – Wiesz, co to zielsko potrafi zrobić z człowiekiem, który bierze je bez ograniczeń. Właściwie używane nie jest ani trochę bardziej uzależniająca niż jakiegokolwiek inne lekarstwo. I widzisz, Deeming, nie można, no po prostu nie można pięciokrotnie wzmocnić sobie intelektu, i nie dostrzec jednocześnie, że ludzie muszą być dla siebie dobrzy. Tak więc owa nauka, jak ją nazwałem, nie jest, jako taka, doktryną ani filozofią, ale po prostu logiczną koniecznością. A nawiasem mówiąc: jeśli nie zdecydujesz się przyłączyć do nas, nie paplaj na temat yinyangu; w przeciwnym razie trzeba ci będzie zrobić kuku.

– Coś ty powiedział? Co?! – wykrzyknął Deeming. – Jeśli się nie zdecyduję... A mam jakiś wybór?

– Czy rzeczywiście możesz sobie wyobrazić taką sytuację, że zmusilibyśmy cię do tego, byś zachęcał ludzi do wzajemnej dobroci? – zapytał Anioł poważnie.

Deeming odszedł, potem wrócił z zamkniętymi oczyma, uderzając pięścią w otwartą dłoń. -

– No dobrze, więc mnie nie zmuszacie. Ale i tak nie mam wyboru. Mogę uwierzyć wam na słowo – choć upłynie wiele miesięcy, nim uwierzę w to naprawdę – że mi nie depczecie po piętach. Ale nie mogę wrócić do tego galimatiasu na Ziemi, gdzie sypią się wszystkie interesy starego Rockharda, a władze wtykają nos we wszystkie jego kontakty i...

– Jaki galimatias? – zapytał Anioł i zaśmiał się. – Deeming, nie ma żadnego galimatiasu.

– Ale Rockhard...

– Nie ma żadnego Rockharda. Czyś słyszał o jakimś Rockhardzie, zanim ów grubasek odwiedził cię tamtego wieczoru?

– No, nie, ale to nie znaczy... O rany, właśnie, że znaczy... No dobrze, ale co z tą jego generalną wpadką, z jego sprawami, to było we wszystkich wiadomościach, mówili...

– Ile razy to słyszałeś?.

– Jak byłem na Iolanthe! Sam widziałem, kiedy... Aha. Aha, rozumiem, to był pokaz specjalny, tylko dla mnie.

– Nie można było dopuścić, abyś nabrał podejrzeń – Anioł uprzejmie go usprawiedliwił.

– No i nie nabrałem. Wasi dzielni piloci ó mało mnie nie zastrzelili. Mogłem zginąć.

– Jasne....

– Bogiem a prawdą, gdybym tak siedząc zapuszkowany w podporze tamtego statku się nie odezwał, to może tkwiłbym tam jeszcze do tej chwili!

– Masz rację.

– A gdybym spartaczył robotę na Ybo, dostałbym z rozwalacza.

– Kiedy się z tym oswoisz, nie będziesz taki oburzony. Oczywiście, że byłeś w niebezpieczeństwie. Wszystko zostało tak zaplanowane; że mogłeś dokonać słusznego wyboru lub niesłusznego, a między nimi było jeszcze sporo swobody. Wybierałeś słusznie i dlatego jesteś tutaj. Możesz się nam przydać. Człowiek, który w sytuacji nadzwyczajnej dokonuje niewłaściwego wyboru, nie jest nam potrzebny.

– Mówią, że jesteście nieśmiertelni – powiedział nagle Deeming. – Nonsens! – odrzekł Anioł. – To tylko plotka, spowodowana zapewne tym, że jeszcze żaden z nas nie umarł. Ale kiedyś to nastąpi, nie mam wątpliwości.

– Aha – powiedział Deeming i zaczął myśleć o czymś innym. Lecz nagle prawdziwy sens tego, co usłyszał, walnął go w łeb jak obuchem. Ale przecież Aniołowie kręcą się po Kosmosie od dwóch tysięcy lat!

– Od dwóch, tysięcy trzystu – poprawił Anioł.

– I dla tego poświęciliście możliwość prokreacji – rzekł Deeming.– Powiedz mi, dziadku, czy warto było? – zapytał po chamsku.

– Mimo całej swej dobroci – uśmiechnął się Anioł – uważam, że powinieneś stracić ze dwa zęby, żebyś w przyszłości nie robił podobnych uwag przy kimś, kto może przyjąć to gorzej niż ja.

– Wycofuję to – powiedział Deeming skłoniwszy się nisko; kiedy się wyprostował, twarz miał ściągniętą jak dziecko, które ma ochotę się rozbeczeć, ale na razie trzyma się dzielnie. – Muszę się z tego trochę pośmiać. Nie widzisz tego? Inaczej ja... ja...

– No dobrze, chłopcze. Nie przejmuj się, coś takiego może przytłoczyć, jeśli spadnie na ciebie bez uprzedzenia. Myślisz, że o tym zapomniałem?

Stali przez chwilę w milczeniu.

– Ile mam czasu do namysłu? – spytał w końcu Deeming.

– Ile chcesz. Już się sprawdziłeś, rozumiesz? Zaproszenie jest stałe. Możesz je utracić tylko wtedy, jeśli zawiedziesz moje zaufanie.

– Nie wyobrażam sobie, żebym mógł założyć stronnictwo głoszące nienawiść do drugiego człowieka. Nie po tym wszystkim. I nic nikomu nie powiem. Kto by tego zresztą słuchał?

– Anioł – powiedział łagodnie złocisty gigant – niezależnie od tego, do kogo byś mówił. No to... co masz zamiar zrobić?

– Chcę wrócić na Ziemię.

Anioł machnął ręką w stronę łodzi.

– Proszę bardzo.

Deeming spojrział na niego i przygryzł wargi,

– Nie chcesz wiedzieć, dlaczego? Anioł uśmiechał się milcząco.

– Po prostu muszę – wybuchnął Deeming jakby w proteście. – Mam na myśli to, że przez te wszystkie nędzne lata żyłem tylko na pół gwizdka. Nawet kiedy stworzyłem sobie to drugie „ja” dla zgrywy, wyłączałem to pierwsze na czas funkcjonowania drugiego. Chciałbym wrócić do siebie takiego, jaki jestem, i nauczyć się być takim, jaki jestem. – Pochylił się i postukał Anioła w szeroką pierś. – To... jest.. cholernie wielkie. Jeśli dałbym z siebie zrobić coś takiego, to byłbym większy, niż jestem naprawdę. Chyba o to mi chodzi. Nie trzeba być Aniołem, żeby być wielkim. Nie trzeba zresztą, być nikim innym poza człowiekiem, by żyć wedle waszej nauki. – Zamilkł.

– A skąd wiesz, jaki jesteś w rzeczywistości?

– Czuję to przez jakieś trzy minuty, kiedy stałem na schodkach Astro Centrum na Ybo. Rozmawiałem z...

– Możesz po drodze zawadzić o Ybo.

– Nie chciałaby na mnie spojrzeć, chyba że przy aresztowaniu – odrzekł Deeming.– Widziała, jak strzeliłam do Anioła.

– No to załatwimy, żeby ten sam Anioł cię aresztował i w ten sposób odbudował jej zaufanie do nas.

Deeming nigdy nie doleciał do Ziemi. Został aresztowany na Ybo, a Anioł, który to zrobił, owinał go sobie wokół potężnego ramienia i zaprezentował dziewczynie o imieniu Tandy. Ujrzała, jak Anioł odchodzi ze swoim więźniem, i pobięła za nimi.

– Co z nim zrobisz?

– A ty co byś zrobiła?

Patrzyli na siebie przez dłuższy czas.

– Czy możesz mnie uczciwie zapewnić, że jest, coś, czego mógłbyś się od niej nauczyć, i że tego chcesz?

– O, tak – odrzekł Deeming.

- Nauczyć go... czego? – zawołała dziewczyna w popłochu. – Nauczyć go... jak?
- Wystarczy być sobą – powiedział Deeming i wtedy Anioł go puścił.
- Skontaktuj się ze mną – rzekł do Deeminga – w trzy dni po tym, jak się to skończy.

* * *

Skończyło się wtedy, gdy ona umarła, po wspólnym przeżyciu na Ybo prawie siedemdziesięciu czterech lat. W trzy dni później usiadł wśród swych prawnuków, by się zastanowić, co dalej.